Cena 5 zł.

ZDRÓJ

KULTURA * ŻYCIE * SZTUKA

ROK I. LUBLIN, 15 PAŹDZIERNIKA 1945 R. Nr 4

DR STEFAN KAWYN

Stefan Żeromski i Edward Abramowski

Święto spółdzielczości, którym rozbrzmiewała niedawno cała Polska, przywodzi na pamięć dwie postacie związane z ruchem kooperatywnym polskim: jawi się nam ideolog kooperatyzmu — Edward Abramowski, a razem z nim twórca zawołania bratnimi węzłami zespolonej rzeszy spółdzielców „Społem" — Stefan Żeromski. Nie przypadkowo oba te nazwiska występują w takiej harmonii: uczony, myśliciel, działacz, poeta — Abramowski w życiu duchowym i twórczości Żeromskiego przez długi czas zaznaczał swój wpływ przemożny, narzucił się niejako chłonnej umysłowości twórcy **Ludzi Bezdomnych**, wywołując u niego obraz trwały towarzyszący mu po ostatnie ważne dzieło żywota, po **Przedwiośnie**. Przyjrzyjmy się więc temu obcowaniu dwu ludzi, których myśli i pchnięcia moralne tak zaważyły w procesie kształtowania się duchowego oblicza Polski pod zaborami; w Polsce zaś odrodzonej stają się wskazaniami na drodze ku szczęściu i chwale.

Z samym nazwiskiem Edwarda Abramowskiego w całej twórczości pisarskiej Żeromskiego spotykamy się rzadko: raz na ostatnich kartach **Snobizmu i postępu**, — drugi raz, i ostatni, właśnie w **Przedwiośniu**. Nie znaczy to jednak, że w polu zainteresowania Żeromskiego postać tego myśliciela i działacza stanowiła jakieś zjawisko mgliste, bezkształtne. Przeciwnie, posiadamy niewątpliwe świadectwa współczesnych, które stwierdzają, że w każdym niemal większym przedsięwzięciu pisarskim (np. **„Ludzie Bezdomni"**, **„Dzieje grzechu"**, **„Przedwiośnie"**), a więc w dziełach stanowiących etapy w rozwoju twórczości, towarzyszyła Żeromskiemu zarówno sama postać Abramowskiego jak i jego myśli luźne lub ujęte w systematy. Co więcej, analiza zawartości ideowo-myślowej niektórych dzieł Żeromskiego może nam dostarczyć podstaw do twierdzenia, że konstrukcja ideologiczna tych dzieł jako całości oraz wyposażenie ideowe głównych postaci ma swój rodowód w poglądach filozoficznych, etycznych i społecznych Abramowskiego, że Abramowski w otoczeniu Żeromskiego był tym czynnikiem, który krystalizował dlań poglądy epoki.

W drugim tomie **Dziejów grzechu** pozostawił Żeromski nawet portret Abramowskiego, „pana z mglisto-niebieskimi oczami, z mocno przerzedzoną czupryną i ryżawą bródką". W folwarkach Bodzanty, rządzonych jakby w myśl ustaw stowarzyszenia „Komuna", sformułowanych właśnie przez Abramowskiego, spełniał on funkcje urzędnika od kooperatyw spożywczych i wytwórczych; on to „swą mglistą i zająkliwą wymową przyczynił się głównie do tego, że z jednej strony Bodzanta przestał oddychać powietrzem szlacheckim, a z drugiej załudnienie poczęło z ukosa spoglądać na dotychczasowe dobrodziejstwa indywidualizmu i składać się do mglistych idei spółkowych czyli „mrzonek".

Owe „idee spółkowe" związane są również z osobistymi wspomnieniami Żeromskiego z r. 1915, kiedy to „w małym pokoju na Chmielnej ulicy w Warszawie... czterej panowie mniej wykwintnie ubrani zakładali redakcję czasopisma **Społem** z zamiarem szerzenia w kraju ruchu kooperacyjnego". Jednym z nich był właśnie Edward Abramowski.

Żeromski zetknął się z nim osobiście po raz pierwszy może w Zurychu, gdzie bywał bardzo często w czasie swego czteroletniego pobytu w Szwajcarii od października 1892 r. do połowy sierpnia 1896 r. Przebywa tam również po ucieczce z kraju (latem 1892 r.) Abramowski, ostygły chwilowo w swej pracy publicystycznej z działalności partyjnej, chory, pozostający przez dłuższy czas pod opieką słynnego neurologa A. Forela aż do r. 1894. W gronie licznych znajomych zurychskich kontakt Żeromskiego z Abramowskim nie miał może jeszcze charakteru znajomości ścisłej, jak np. w okresie warszawskim. Na gruncie dopiero działalności Abramowskiego w Warszawie od chwili jego powrotu z emigracji (styczeń 1897 r.) następuje ich zbliżenie, a nawet coś w rodzaju współpracy myślowej. Obaj bowiem obracają się w kołach ówczesnej warszawskiej inteligencji postępowej i radykalnej, obaj w latach 1897—1900 biorą np. udział w wieczornicach urządzanych przez Marię Paszkowską lub „Piękną Panią", Marię Koplewską, obaj spotykali się „systematycznie nawet" znowu w l. 1897—1898 na zebraniach konspiracyjnych u Marii i Władysława Bukowińskich, gdzie dyskutowano krążące wówczas jeszcze w odpisie lub odbitkach mimeograficznych artykuły Abramowskiego: **„Etyka a rewolucja"** oraz **„Program wykładów nowej etyki"**.

Okres ściślejszego współżycia ideowego rozpoczyna się zimą 1904 r. w Zakopanem. Potęgowała je niewątpliwie gorąca atmosfera polityczna w związku z niepowodzeniami Rosji na Dalekim Wschodzie. Prócz wzajemnych towarzyskich odwiedzin Żeromski i Abramowski spotykali się na terenie Czytelni i Biblioteki Publicznej oraz w „chacie" Stanisława Witkiewicza. Na zebraniach szerszych inteligencji polskiej oraz na poufnych sesjach działaczy przebywających ówcześnie w Zakopanem omawiano, rzecz prosta, aktualną sytuację polityczną tudzież sprawy społeczne. „Jako ich poniekąd podstawa — opowiadał mi uczestnik tych dyskusyj, Jan Witkiewicz (Koszczyc) — narzucała się świeżo wydrukowana książka Abramowskiego (Czajkowskiego) **Socjalizm a państwo.** Żeromski entuzjastycznie odnosił się do problemów tam podnoszonych — to pamiętam doskonale (czy wszystkie definicje odpowiadały mu w zupełności — nie jestem pewny)".

Okres zakopiański w działalności Abramowskiego to czas najsilniejszego promieniowania jego idei na coraz to szersze koła inteligencji, młodzieży, nawet górali — to czas żywych prac organizacyjnych około utworzenia „komun duchowych" — to czas najintensywniejszej propagandy idei braterstwa. Na jednym zwłaszcza zebraniu propagandowym w Zakopanem był Żeromski i brał w nim udział. Uczestnicy jego zobowiązali się uroczyście do szerzenia ideologii społeczno - etycznej sformułowanej przez Abramowskiego — każdy w swej dziedzinie pracy i zainteresowania, każdy własnymi środkami. Żeromski zadanie to przyjął poważnie i przyrzeczenia swego dotrzymał: dowodem — jego działalność oświatowa i społeczna w Nałęczowie w latach 1905—1909: założenie Towarzystwa Oświatowego „Światło", zorganizowanie uniwersytetu ludowego, propaganda „idei spółkowych" i cały szereg innych faktów, o których Żeromski sam w bolesnym wspomnieniu o swym zmarłym synu opowiada.

Gdy w kwietniu 1905 r. ukazuje się w Krakowie broszura Abramowskiego p. t. **Zmowa powszechna przeciwko rządowi**, w której zawarty został jakby katechizm realnej codziennej walki z zaborcą, broszura ta, drogą konspiracyjnego kolportażu, dostaje się do rąk przebywającego w Nałęczowie i wespół z Gustawem Daniłowskim działającego Żeromskiego i staje się materiałem, a nawet główną podstawą ich poczynań i prac oświatowych i społecznych.

Osobisty ten, a — jak się okaże — również duchowo-myślowy kontakt Żeromskiego i Abramowskiego urywa się po r. 1908.

Abramowski przeszedł we wspomnienie „jasnego ducha" młodości Żeromskiego.

Posiew idei Abramowskiego nie pozostał u Żeromskiego bez plonu: ziarna padały na grunt podatny. Wrażliwość na krzywdę i nędzę ludzką, poczucie braterstwa z poniżonymi i cierpiącymi stanowiły cechy konstytucyjne psychiki Żeromskiego. Wpływ matki potęgował te predyspozycje, przykład jej czynnego miłosierdzia pobudzał do naśladowania. Była w Żeromskim żywa i czujna ciekawość życia ludzi uginających się pod brzemieniem nędzy; z obcowania z ludem powstawały refleksje, podstawa przyszłej ideologii. Przychodzą lata rwania „sideł niedoli", twardą szkołą życia (sołdackie obiady na Podwalu), z której wyniósł na całe życie prawdę — wskazanie: „Ja po prostu nie wierzę w ludzi, którzy młodości nie spędzali w nędzy, — nie znają „tamtego świata", nie wiedzą całkiem, co to sumienie, co altruizm, co głębokie poniżenie, które się okupuje dumą zaprawdę wielką, honorem rzeczywistym, pogardą prawdziwego filozofa". W wyznaniach prywatnych 28-letniego mężczyzny wobec narzeczonej, dla którego nie obcą była gorycz doświadczenia nędzy i egoizmu ludzkiego, znalazło nadto wyraz szczery i bezpośredni uczucie braterstwa wobec tych, co „żyją kartoflami przez ¾ roku, a przez kwiecień, maj i czerwiec do nowych kartofli i żyta — siekanką z pokrzyw, lebiody, kory olszowej, mąką i mlekiem... ci ludzie ubodzy, bracia moi..."

Stosunek uczuciowy Żeromskiego do tych spraw nie wyczerpywał się na tworzeniu toczonych gładkich okresów pisarskich, o które przecie literatowi tak łatwo. W życiu swoim prywatnym codziennym realizował nakazy religii braterstwa. Syna, Adama, powiernika swych wizyj, wychowywał w jej duchu. W najuboższym człowieku widział przede wszystkim ludzką duszę. Chatę wiejską od pożaru ratował. Ludzie prości, którzy go znali, mówili, że „miał serce rzewne, wrażliwe niezmiernie na cierpienia ludzkie, odczuwał ludzkie troski i bóle".

Nie znosił ortodoksyjnego sekciarstwa społecznego, nie wierzył w gotowe formuły doktryn, których mechaniczne w życie wprowadzenie i zastosowanie obdarzyć ma ludzi szczęściem, odbierając im zarazem swobodę tworzenia.

Instynkt artysty i prawość charakteru pociągnęły go w stronę ideologii Abramowskiego, w której dostrzegał trafnie czujną troskę o człowieka, głęboką troskę o jego sumienie i szczęście. Pociągał go ów apostoł rewolucji moralnej, teoretyk kooperatyzmu praktycznego, pociągał Abramowski Żeromskiego tak czarem swej osobowości i poetycznością duszy jak poglądami na istotę sztuki, na jej rolę w życiu społecznym, sztuki zdolnej przeobrazić duszę ludzką: w przyszłym, odnowionym świecie miała ona odegrać rolę czynnika zespalającego ludzi w religii braterstwa. „O Abramowskim mówił Żeromski zawsze z entuzjazmem, powoływał się często na jego autorytet" — świadczy Jan Witkiewicz.

To samo świadectwo stwierdza, że i Abramowski wobec Żeromskiego nie pozostawał obojętny: „Często słyszałem z ust jego szczery zachwyt o Żeromskim jako artyście".

Pisarze bowiem, artyści stali w opinii Abramowskiego bardzo wysoko. Sztukę literacką wynosił ponad naukę, nie tylko przez swą niechęć do intelektualizmu, ale dlatego, że, zdaniem jego, żadna formuła pojęciowa nie ujmie i nie przedstawi tak jasno prawdy o zjawiskach jak właśnie forma artystycznych obrazów. Bardzo był rad, gdy literaci objawiali chęć interpretowania jego koncepcyj naukowych w sposób literacki: ich intuicji wierzył silniej aniżeli krytycyzmowi naukowców zawodowych. Z jego więc inicjatywy wychodzi z pod pióra Józefy Sawickiej (Ostoi) przekład książki pisarza belgijskiego Karola Lemonnier'a p. t. **Poczciwi sąsiedzi** (Warszawa 1901), propagującej ideę pomocy wzajemnej, opartej na miłości braterskiej ludzi. Rzecz znamienna, — jak mię informował wydawca tej książki Stefan Demby — przekład ten w rękopisie na życzenie wyraźne Abramowskiego nosił motto z **Ludzi Bezdomnych**: „Miłość między ludzi należy siać jak złote zboże, a kąkol nienawiści trzeba wyrywać i deptać nogami. Czcij człowieka — oto nauka".

WOJCIECH BĄK

Z „PIĄTEJ EWANGELII"

I liszki mają swoje nory
I ptaki mają gniazda swoje —
Jedynie syna człowieczego
Nic nie wybawi z niepokoju.
Bo jakiż dom, bo jakież ściany
I skrzydła spokojnego dachu
Uchronią go od wezwań świtu
I nocy przerażonej strachu.
Kamień dla niego — nie kamieniem,
Lecz ulotniejszy jest niż cienie —
I dach nad głową nie jest dachem.
Oddech unosi go westchnieniem.
Ściany są kruchsze niż dźwięk skrzypiec,
Przez który szept się dzieci wdziera,
I mur z betonu stu bramami
Stopom nieznanym się otwiera.
I człowiek drży! Jesienny wicher
Odsunął dumnie pewnym murem,
Ale są wichry gwałtowniejsze
I w noc wzywają groźnym chórem.
Spłoszył ciemności! Ale ciemność
Zza światłą spływa wodospadem —
I zamknął drzwi — by nikt w dom nie wszedł —
A wszędzie obce, srebrne ślady...
I obca dłoń — i obce kroki
Przez ścianę się wdzierają w ciszę —
Z poza milczenia głos wysoki
Nad skronią niespokojną słyszy...
A dziś głos głośniej! I widziałem
Przez miasto ognia, w bomb poświście —
Krzyczący tłum uciekał z płaczem
Przez wzgórza nędzy — domów zgliszcza...
Gmachy sypały się popiołem
Jak garnki z gliny pod bomb młotem —
I roztańczony na ulicach
Płomień zagłady — żywioł złoty...
I stała się dosłownie prawda,
Co prawdą wiecznie obrazową —
Spełniało się błądzącym tłumem
Wśród ruin Ewangelii słowo...
Że liszki mają swoje nory
I ptaki mają gniazda swoje,
Jedynie syna człowieczego
Nic nie wybawi z niepokoju!

MARCELINA GRABOWSKA

PAMIĘTAJ!

Był wrzesień — jak skondensowany dynamit. Suma niedołęstwa i suma zawiedzionego bohaterstwa. Nadszedł i minął, a nad miastem i nad jego okolicami stanął normalny, roboczy dzień.

No, cóż — trzeba żyć. Można się oswoić z wrogim mundurem, kiedy się straciło wiarę we własny rząd. Można się oswoić z dolą okupacji, kiedy się nie czuje sił do jej zmiecenia.

Więc ludzie oswoili się, wrócili do pracy, zatracili w trosce o byt poczucie bojowości. Wojna stanęła w martwocie, zamarła w chłodach. Wtedy jeszcze sądzono, że w zimie niemożliwa walka.

Nie ma wojny, nie ma walki z nami. Zwycięzcy i zwyciężeni—ludzie. Przedzieleni nieufnością, oglądający się zbliska, podglądający nawzajem swoje słabości. Ale ludzie.

Ułożyło się życie, uspokoiło. Wojna? Naprawdę niedawno przeszła tu wojna? Oficerowie i żołnierze niemieccy fotografowali zwalone domy, rozwarte, poczerniałe czeluści ruin, ale sami Warszawianie przechodzili koło nich nieczuli, zobojętniali.

Taka była atmosfera, takie nastawienie, kiedy spadł grom. Pewnego dnia mury, słupy, parkany poczerwieniały od afiszów. Stanęły przed nimi grupy i rosły, bo kto przeczytał, nie odchodził — czytał jeszcze i jeszcze raz. Nie wierzył oczom, nie wierzył własnej bystrości. Ostatni czekali cierpliwie, aż pierwsi zdecydują się odejść.

Co to było? Co to właściwie jest? Prawo wojenne czy bezprawie zwycięzcy? Na amarantowym afiszu paliły się litery, bardziej groźne niż niedawne pożary Warszawy. Bo czy prawdą może być treść...

...Za zabitego Niemca zostało rozstrzelanych stu ludzi — mieszkańców Wawra i Anina. I zapowiedź, że tak będzie i później. Tak będzie zawsze.

I skończyło się z pokojem. Dzień pędził w gonitwie za chlebem, a noc unosiła na pościeli z obawy przed śmiercią. Bo niewiadomo, czy gdzieś tam nie zostanie postrzelony Niemiec w nocnej birbantce, w pijanej sprzeczce, jak to — wedle pogłosek — miało miejsce w Aninie.

Wawer, Anin. Podmiejskie miejscowości wypoczynkowe. Willijki rozkoszne wśród całorocznej zieleni. Pachnące drzewa szpilkowe na sypkim, mazowieckim piachu.

— Tu będziemy mieszkać. Tu zdrowo dla dzieci i taniej.

Zamieszkali na rok przed wojną. Żenon Grabarczyk, mały urzędnik, z małą, urzędniczą duszą. Spokojny, pokorny. Sumienny pracownik, wzorowy mąż i ojciec. Gotowy temat do pochwalnych mów.

Narzekał przez cały rok, że niewygodnie, że ciężko. Trzeba wcześnie wstawać do kolejki, aby wczas do biura. Trzeba się śpieszyć w południe, aby na obiad. W dodatku — niekiedy ścisk, w lecie męczy gorąco. Ale żona wyrzucała na stół niezbity atut: zmniejszone pozycje budżetu.

Ważniejszym atutem było zdrowie chłopców. Tu już trzeba zapomnieć o niewygodzie. Patrzcie, jak to się wspaniale przez ten rok rozwinęli. Ani poznać, że ci sami.

Kiedy łuna wzbiła się nad Warszawą, pani Grabarczykowa żałowała znajomych, którzy „tak cierpieli w tej chwili", ale nie mogła się powstrzymać, aby nie wziąć tych łun za świadka swojej zapobiegliwości.

— A widzisz, tak narzekałeś. Tu wyraźnie bezpieczniej. Tu przeczekamy wojnę.

Pewnej nocy zapukali do drzwi. Równocześnie zastukało serce. Jeszcze głośniej, mocniej, boleśniej. Narzuciła płaszcz i otworzyła. Co to jest? Czego od nich chcą?

Wtarabanili się w ciszę domową. Załomotali buciarami, kolbami, zaszczekali wrogimi słowami. Zrozumiała: zabierać się! Nie, jej nie chcą, nie wezmą. Tylko mężczyźni. Chłopcy — chyba nie? Chłopcy też.

Zakrzątnęli się w milczeniu. Pokornie i cicho. Wszyscy trzej. Aby nie drażnić. Bo to chyba nic wielkiego. Jakieś absurdalne podejrzenie. Zwodliwy przypadek. Wykaże się ich niewinność. Obroni ich niezawodne alibi, nieodparta prawda ich życia. Tylko nie stracić spokoju, tylko nie zapalić gniewu we wrogu.

Już dochodzili do drzwi, kiedy w matce załamała się pokora. Nagle zatrzepotało w jej sercu przeczucie. Rzuciła się ku młodszemu, objęła, zakuła w nieustępliwych ramionach.

— Nie. Jego nie dam. Jego nie zabierzecie. — I modlitewnie: — Choć jego jednego.

Zawahali się, stanęli zaskoczeni. Oczy zapłonęły zniecierpliwieniem. Odepchnęli kobietę, trącili karabinami stojących: — Los!

Ale nie zdążyli wyjść, kiedy znowu oplotła chłopca i nie prosiła już, żądała, krzyczała: — Jego mi zostawcie! Jego mi chociaż zostawcie!!! Przecie to dziecko!

Biła od niej władcza wola, biło od niej macierzyństwo. Ulegli. Pognali przed siebie tamtych dwóch i poszli.

— Im się nic nie stanie. Wszystko się wyjaśni i wrócą. Ja ciebie — nie dlatego, abym się bała. Tylko, że mogłeś się przeziębić. Tylko, że jesteś najsłabszy. Tatuś i Tadek prędzej sobie poradzą.

Krzątała się, chodziła nieprzytomnie po pokoju. Przykazywała raz wraz chłopcu: — Śpij! Ty śpij! Ja też zaraz...

Ale trudno było zasnąć. W serce wbijał się sztych niepokoju. I krew waliła w skroniach wstydem i zgryzotą. Że dlaczego tylko jego jednego? Dlaczego nie broniła tamtych? A możeby się było udało.

— Nic im przecie nie zrobią. Teraz — w nocy — napewno nic. A rano pójdę, będę chodzić. Będę dopóty błagać, kołatać, aż... Nic przecie złego nie zrobili, nikt na nich nie może powiedzieć nic złego. Całe życie... Bóg nie dopuści. Tylko do rana...

Czas tańczył między zoczeniem a podnietą. Wlókł się wiecznymi minutami i bił niespodzianym upływem godziny. W pewnej chwili — niewiadomo kiedy — głowa ociężała i nogi ugięły się, podcięte zmęczeniem.

Zbudziło ją zimno, płynące od podłogi. W okna zaglądał świt. Był pogodny, różowy, zaglądał pod powieki, jak uparte, figlarne dziecko. Pierwsza myśl: co to się stało? Potem świadomość — napływ cierpienia i zgryzoty. W końcu pociecha: nie spełni się, uratuję.

Ogarnęła się. Chwyciła flaszkę wina, chleb. Pomyślała: — Możeby należało herbaty do termosu. Ale czuła, że nie wytrzyma czasu potrzebnego do zagotowania wody. — Pójdę, dowiem się i wrócę. Potem zaniosę, co trzeba. Wino także rozgrzewa.

Rzuciła okiem na śpiącego. Rozczuliła się. Śpij mały, śpij spokojnie — choć ty.

Domki otwierały się w wielu punktach. Wychodziły z nich kobiety — zaniedbane, odziane widać w pośpiechu, naprędce, byle uciec przed zdarzeniem, zachowanym w pamięci ścian. Patrząc na nie, zrozumiała Grabarczykowa, że nie jedna i nie sama.

U wszystkich bowiem jednakie cienie pod oczyma. U wszystkich to samo pochylenie jak pod zbyt wielkim ciężarem. U wszystkich te drobne, pokorne kroki bezsilnych ofiar, uciekających przed ciosem.

Choć połączone przeżyciem — nie witają się, nie łączą. Nieledwie nie chcą się widzieć. Powszechność nieszczęścia pomniejsza nadzieję, czyni trudniejszym ratunek. Niewiadomo dlaczego uważają, że wszystkich nie wypuszczą, nie można wypuścić. Więc oddzielić się, wydzielić... może wtedy ominie właśnie... mnie.

Każda niesie w ręku coś dla swoich. Menażki, termosy, flaszki. I starannie, z miłością pakowany, najdroższy... chleb.

Grabarczykowa biegnie najszybciej. Jest najmłodsza, a może najmocniej ją dotknęło. Wymija jedną, drugą. Wymija nawet te, które mieszkają najbliżej baraków, więc mają lepsze szanse. Dogania gromadki, goni coraz zawzięciej, chce dojść sama jedna.

Już przed nią nikogo. Już odsłaniają się baraki. Ma bystre oczy, widzi daleko, natęża je i spostrzega szereg, długi szereg, niby zebranych do apelu. Na tle parkanu ciemna smuga ludzi — to chyba oni. Dobywa ostatków sił, wyrzuca przed siebie ciało jak dysk.

Nagle staje. Nie wie o tym, że za nią stają inne kobiety, że wszystkie jakby coś zatrzymało w miejscu.

To pieśń. Od baraków wznosi się, unosi nad polami, nad laskami — tak znana jak oddech melodia, wkołysana polskiemu dziecku w krew.

— Jeszcze Polska nie zginęła!...

Grabarczykowa stoi. Świat przed nią wiruje w takt pieśni. Już nawet nie przeczuwa — wie. I kiedy pieśń zaczyna się mącić i rwać pod salwami — spada na nią — matkę, żonę — ciemność.

Od tej pieśni, od tych salw zapaliła się konspiracja. Stało się rzeczą jasną: nie ludzie — wrogowie. Nie ludzie — zwierzęta. Nie ochronisz się, nie obronisz. Nie wypowiesz sam — tobie wypowiedzą walkę. I mali, spokojni, poczciwi Grabarczykowie — podjęli wezwanie, rzucone w zimną noc.

Na murach, na słupach, na parkanach — gdziekolwiek mógł się zwrócić wzrok Niemca, stanęło czarnymi literami: Wawer, Anin. Mijały lata, szły wypadki, nieszczęścia, ciosy, coraz mocniejsze — a te litery trwały. Wyrastały nocą na koszarach, spadały na budki strażnicze, firmowały żandarmskie odwachy. Legły na kamieniach chodników, podsuwały się wszędzie pod uwagę. Nie obronił karabin, nie zasłonił kolczasty, wielekroć zwiedziony drut. Kiedy słabość niemiecka zaczęła budować bunkry, wtedy i na bunkrach zjawił się napis: W a w e r, A n i n. Parzył stopy, jątrzył oczy, groził i urągał. Wawer, Anin. A pod nim, pod adresem Warszawiaków, pod adresem przechodniów i przejezdnych, pod adresem całego świata:

P a m i ę t a j ! ! !

STANISŁAW PAGACZEWSKI

EWAKUACJA

Rankiem było zimno i przejrzyście
i po kościach ziąb szedł. U studni
rozpryski srebrne wody na pożółkłych liściach.
Wrzesień bezchmurny dalekimi gromami dudnił.
Koniom patrzało dobrze z oczu,
dymiły się gnojowiska. A drzewa
pstre jak szlachta sejmowały na zboczach.
Wóz jechał cichą drogą i każdy z nas ziewał.
Drogowskazy palcami wschód pokazywały
coraz dalej od domu. Dom już tylko we śnie
przypominał się ciepły, jasny i ustały
w perspektywie dróg polnych malowanych wrześniem.

WITOLD ZECHENTER

LITANIA

Ojczyzno moja udręczona,
Ojczyzno moja nieżyjąca —
módl się za mną.

Ojczyzno bita i hańbiona,
martwa, krwią żywą pulsująca —
módl się za mną.

Na Twoim sercu but podkuty,
na Twoich oczach ich zwycięstwo,
ich przeraźliwy śmiech —
kraju podlony, kraju zapluty,
ziemio umierająca klęską —
módl się za mną.

Salwą niemieckich karabinów,
kolbami niemieckich ciosów,
szwargotem niemieckich rozkazów,
otchłanią polskiej zdrady,
przepaścią dusz **volksdeutschowskich,**
mundurem granatowego policjanta,
obławą, rewizją, więzieniem,
kaźnią, krematorium, ukrzyżowaniem,

prochem spalonym,
nieśmiertelnością polskości —
Ojczyzno moja, ratuj mnie,
Ojczyzno moja, pomóż mi,
Ojczyzno moja, módl się za mną

o śmierć bez męki lub mękę bez śmierci,
łaskę przetrwania ponad Twe męczeństwo
i o błogosławieństwo zemsty.

Październik, 1942 r.

JÓZEF BOJAR
(z grupy „Wieś tworząca")

SIANOKOSY

Idą chłopcy z kosami
wąziutkimi drogami.
Idą... kosić na łąki
świeże trawy i pąki.
Idą... głośno się śmieją
ponad piasku zawieją...
Zaszli w łąki od lasu;
trawa sięga im pasa,
taka duża wyrosła,
byle z wodą nie poszła.
Trawa świeża, pachnąca,
przy niej rzeka szumiąca,
a od lasu gwar leci —
to ptaszkowie — poeci.
Wyostrzyli swe kosy.
Spojrzał każdy w niebiosy,
westchnął cicho, rzewliwie.
„Daj Bóg skosić szczęśliwie".
I zaczęła się kośba...,
jak huragan, jak groźba,
cięli wszystko kosami
strudzonymi rękami.
Wieczoru nie czekali,
jeno do dom wracali,
bo już łąkę wysiekli,
tacy byli zaciekli.
Oj, żeby tak źle losy,
położyli w pokosy,
a gdy najdą już żniwa,
by wieś była szczęśliwa!...

STANISŁAW PAGACZEWSKI

PIEŚŃ MATKI PARTYZANTA

Uciekłeś mi, chłopcze, nocą
i zdeptałeś pod oknem kwiaty —
wyskoczyłeś półnagi i młody,
gdy już drzwi strzaskali granatem.

I pobiegłeś w ciemność wilgotną
bosą nogą na raniące ściernie —
w pokoju zostałam samotna,
choć w nim byli ludzie niemiłosiernI.

Bili mocno. Po twarzy. W zęby.
Nie słyszałeś. Nie mogłeś zobaczyć.
Uciekałeś pijany wolnością —
Nazywali cię: syn sobaczy.

I za włosy targali. Kopali.
Choć też młodzi i też mają matki.
A mnie serce ze szczęścia śpiewało,
żeś daleko. W lesie. Za rogatką.

Wreszcie poszli. Że wrócą. Być musisz,
bo inaczej zatłuką, zabiją.
I nie będzie już twojej mamusi,
pod niemieckim zamrze ci kijem.

Śpij, syneczku, na poduszce z liści
i pamiętaj nigdy nie być smutnym.
Poceruję ci kilka skarpetek,
zanim przyjdą znów źli i okrutni!

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI

Od pudełka zapałek do szklanych domów

Udział sztuki w życiu codziennym

Udział sztuki w życiu przeciętnego obywatela w Polsce był i jest minimalny, wręcz znikomy. Przedmioty, jakimi się otaczamy i posługujemy codziennie, mają na uwadze jedynie tylko użytkowość, z kompletnym pominięciem wartości estetycznej.

Najlepszym tego przykładem są wnętrza naszych zamożnych lub średniozamożnych domów, gdzie lśniące, nieraz wyszukane meble, dywany, kilimy, makaty i obrazy dają w rezultacie wrażenie chaosu, przykrej brzydoty i niepokoju. Są to przeważnie rzeczy drogie, pretensjonalne, a jednocześnie i pseudoartystyczne, takie jak: „stylowe“ lub „nowoczesne“ sypialnie, salony i gabinety, ordynarne tkaniny, przerażające wazy oraz „landszafty“.

Ale mniej więcej podobnie dzieje się i na wsi. Z dnia na dzień topnieje głęboko w duszy naszego ludu zakorzenione poczucie piękna. Jarmarczny, tandetny sprzęt wyparł powoli prosty, a jakże szlachetny w barwie i linji mebel wiejski, oryginalną wycinankę zastąpiły miejskie papierowe „kwiaty“, a na miejscu obrazów na szkle zawisły odpustowe „świętości“. Proces ten wiąże się z tą wielką przemianą, jaką przeżyła wieś w ostatnim ćwierćwieczu.

Regionaliści, sztuka ludowa a rzeczywistość.

Znając tempo zmian zachodzących w psychice wsi współczesnej, należy stwierdzić, że bezowocne i jałowe będą wysiłki zaprzysiężonych regionalistów, pragnących uczynić ze wsi wyspę, na której lud nosiłby nadal swoje piękne kolorowe stroje, strzygł wycinanki, malował na szkle i rzezał kozikiem figury Chrystusów Frasobliwych. Jest to trud wprawdzie szlachetny ale daremny, podobny do chęci odwrócenia nurtu wezbranej rzeki. To też wychodząc z założenia, że sztuki ludowej nie można i nie należy sztucznie kultywować, trzeba jednocześnie zwrócić uwagę na jakość prądu płynącego ku wsi.

Nie ma więc w tej chwili racji uparte trwanie przy tym (jak tego niektórzy pragną), by wieś nie wyszła czasem z ram swoich regionalnych wartości, jak nie ma też sensu walka o to, by na bielonych belkach izby wciąż pajęczyła się wycinanka lub tęczą farb grał obraz na szkle malowany. Bo istota sprawy tkwi gdzie indziej. I jest wspólna — tak dla wsi jak i dla miasta.

Istota rzeczy.

W tej chwili chodzi przede wszystkim o to, by na miejsce ginącego, samorodnego piękna nie wciskała się nadal, jak dotąd, brzydota i to brzydota występująca z zasady pod etykietą „artyzmu“. Bo to, że dzieła sztuki ludowej, opuściwszy wnętrza izb wiejskich, znajdą się w murach muzeów, jest rzeczą prostą i całkiem naturalną, ale że na miejsce tworów samorodnego talentu artysty chłopskiego zjawia się we wsi fabrykowana nędzna tandeta, to dopiero jest naprawdę złe i szkodliwe. To bowiem obniża smak estetyczny społeczeństwa, doprowadzając w konsekwencji do kultu brzydoty. Ale o te sprawy nikt się u nas nie troszczył i to nawet wtedy, gdy na przedmiotach służących do zaspokojenia głodu artystycznego pojawił się znak: „Made in Germany!“

„Pudełko zapałek“

Typowym przykładem niezrozumienia idei „piękna na codzień“, idei powiązania sztuki z życiem jest artykuł zamieszczony niedawno w jednym z czasopism społeczno-literackich, w którym autor twierdzi, że w tym ciężkim momencie gospodarczym, jaki obecnie przeżywamy, jedynie ważną rzeczą jest tylko to, by każdy potrzebujący miał swoje „pudełko zapałek“, a nie barwa lub wartość estetyczna etykiety. W rozumowaniu tym tkwi właśnie błąd zasadniczy, gdyż dobrze zaprojektowana etykieta nie tylko podnosi wartość artystyczną wspomnianego pudełka ale i ułatwia jednocześnie jego zbyt. Wielką akcję upowszechnienia kultury i sztuki, jaką pragniemy przeprowadzić w nowej, demokratycznej Polsce, musimy zacząć od najprostszej i najważniejszej zarazem sprawy: od nadania rzeczom życia codziennego cech rzetelnego piękna. Dlatego słusznie twierdzi W. Telakowska w „Odrodzeniu“ („O udział plastyki w życiu gospodarczym kraju“): „Wiadomo, że piękno uwielokrotnia wartość przedmiotów“. A nieco dalej: „Znane są fakty sukcesów gospodarczych Francji, która od kilkuset lat eksportowała meble, dywany, tkaniny, stroje, galanterię. Francuski dobry smak, ów „gust“ ściągał do Francji miliardy, zdobywał najodleglejsze rynki zbytu“.

Wyżej wspomniane „pudełko zapałek“ może się stać pewnego rodzaju symbolem. Od niego bowiem prowadzi prosta droga do zrealizowania wielkiej idei Norwidowej, zawartej w „Promethidionie“, idei głoszącej konieczność więzi między sztuką a życiem („gdzieby kamieniarz, cieśla, murarz, snycerz, poeta wreszcie, męczennik i rycerz — odpoczął w pracy, czynie i modlitwie“).

Źródło zła.

Przedtem jednak musimy zlikwidować źródła zła, zatamować dalszy dopływ do miast i wsi pseudoartystycznej tandety, występującej pod różnymi postaciami, ale prawie zawsze z pretensją do „artyzmu“. Kiedy przed wojną, jak i obecnie, polski artysta ciężko walczył o chleb codzienny, zdany na obojętność społeczeństwa, rynek zaśmiecały i nadal zaśmiecają oleodruki z napisem „Made in Germany“, przynosząc handlarzom ogromne zyski.

Dewocjonalia, przemysł artystyczny, zabawkarstwo.

Specjalną uwagę należy zwrócić na produkcję dewocjonalij, bo tutaj właśnie, a nie gdzie indziej leży główna przyczyna zła. Tą drogą przepływają baktyle okropności w lud, a kramy i t. zw. „obraźnicy“ są roznosicielami tej zarazy, deprawującej smak estetyczny społeczeństwa, a jednocześnie skazującej prawdziwych artystów ze „łaski bożej“ na nędzę i bezrobocie. Miliony złotych wydaje wieś rokrocznie na zakup obrazów Świętych Pańskich, posążków oraz „landszaftów“, wytwarzanych najczęściej przez najgorsze niemieckie firmy, którym zresztą zawsze zależało na tym, by mogły nietylko zarabiać, ale i szkodzić. Podobną tandetę spotykamy i w kościołach, gdzie ołtarze zdobi się pstrokacizną odpustowych wizerunków, a feretrony podczas procesyj zakrawają na makabryczną demonstrację brzydoty, nieopatrznie podawanej zebranym tłumom jako „piękno“.

W podobnym stanie znajduje się też i nasz przemysł artystyczny, wytwarzający przeważnie przedmioty służące do dekoracji wnętrz: kilimy, dywany, ceramikę, meble. I tutaj obserwujemy podobne co i poprzednio zjawisko, zjawisko masowej, bezplanowej produkcji rzeczy, nie tylko że nie noszących cech szczerego piękna, ale najzupełniej dalekich od sztuki. Z procesu produkcji wyłączono tutaj czynnik najważniejszy — artystę!

To samo obserwujemy w zakładach włókienniczych, produkujących tanie kretony, „wzorzyste“ chusty, gdzie projektuje byle kto i byle jak. A przecież gdzie jak gdzie, ale tutaj możnaby najdoskonalej realizować hasło „sztuki na codzień!“

Nie lepiej dzieje się w przemyśle zabawkarskim, mającym wyjątkowe znaczenie wychowawcze. Na zabawce bowiem kształci się w pierwszych latach rozwoju fizycznego i duchowego smak dziecka! Ale i tutaj szaleje kłusownictwo.

Tylko prawo może powstrzymać inwazję brzydoty.

Już czas najwyższy, by wreszcie powstrzymać ową szkodliwą inwazję okropności, by stworzyć tamę przeciw długoletniemu wciskaniu się do naszych kościołów, urzędów i mieszkań blichtru, artystycznego fałszu i tandety. Sprawa jest ważna, pilna i nie cierpiąca zwłoki.

Czynnikiem powołanym do tych zadań jest Ministerstwo Kultury i Sztuki. Tam też powinna powstać myśl wydania specjalnej ustawy, rozwiązującej ten tak bolesny problem, by odtąd z witryny sklepowej, z odpustowego czy jarmarcznego kramu, z wnętrza świątyń, szkół i domów promieniowało piękno. Zwycięskie piękno „Promethidiona“, którego moc ma przebudować dusze! Kośćcem wspomnianej ustawy będzie zasada głosząca, że bez aprobaty powołanej komisji nie może pojawić się na rynku żaden wytwór przemysłu artystycznego (dewocjonalia, obrazy, ceramika, kilimy, dywany, sprzęt liturgiczny, materiały włókiennicze, zabawki). Dopiero projekty wykonane przez artystę i przyjęte przez grono opiniujące mogą być realizowane.

Szklany dom.

W tej chwili przeżywamy „chwilę osobliwą“. Po pięcioletniej straszliwej walce z germańskim najeźdźcą, z ruin i pogorzelisk wznosimy nowy Dom. Do budowy tej potrzeba nam wielu architektów, murarzy, ślusarzy i cieśli. Ale potrzeba nam też i artystów, bez których ten wielki, święty Gmach, któremu na imię Ojczyzna, będzie świątynią bez Boga! Pamiętajmy, że to, co wzniesiemy, będzie nie dla nas, ale dla całych przyszłych pokoleń. Dlatego każdy szczegół musi być skończenie dobry i piękny. Prawo niechaj strzeże, by i tutaj nie przesączyła się szara, wytarta tandeta.

W tym nowym naszym szklanym Domu wszystko musi być nacechowane stygmatem piękna — tak owo symboliczne „pudełko zapałek“, jak i przyszły posąg Zwycięstwa.

IRENA BYRSKA

U źródeł harmonii

Pełne wdzięku przysłowie — „czyń każdy w swoim kółku co każe duch Boży, a całość sama się złoży“..., ma wiele racji, ale do pewnej granicy. Widzimy to jasno, obserwując t. zw. życie kulturalne naszej prowincji. Ze wszystkich przejawów tego życia może najmocniej woła o prawo do realizacji teatr. Teatr — to magiczne zwierciadło, tajemnicza siła; pokazuje nam życie, które nas męczy, przeciwko któremu buntujemy się, a które jednak tak kochamy; w nowych barwach i kształtach oświetla nieznanym nam światłem; biją nam w oczy jego blaski, niepokojem napełniają cienie.

Widzimy, że zdobycie doskonałości nie jest wcale tak łatwe i proste, ale widzimy, że pokonanie przeciwności nie jest wcale tak trudne. Czujemy, że na tym wielkim różnorodnym świecie nie jesteśmy sami; że oto przed chwilą ktoś kochał i cierpiał tak jak my, choć było to dawno i daleko; że odbywała się jakaś wielka walka o dobro i prawdę, tak jak się odbywa i w naszym środowisku, na wiecach, zebraniach i w rozmowach.

W teatrze jakby w wielkiej pracowni chemicznej obserwujemy tę odwieczną przemianę duchowej materii; uczymy się praw jej przebiegu. Jak pokierować tą siłą utajoną, która sama w sobie może być i niszczycielska i twórcza?

Odwieczne a ciągle nowe pytanie, które tak pięknie wyraził Szekspir w „Hamlecie“ — „być albo nie być“, właśnie w teatrze staje nam bardzo plastycznie przed oczyma. Oglądamy je przez tragizm Hamleta, Fausta, Konrada, przez bolesną ironię Skąpca i Świętoszka, przez ostry jak szpada śmiech Figara.

To wieczne pytanie, gdzie jest piękno, dobro, prawda, przewija się nawet we wdzięcznej muzyce offenbachowskich operetek czy w pogodnych komedyjkach Bałuckiego.

To też nic dziwnego, że nim jeszcze wiatr przewiał dymy i osuszył łzy, już coraz mocniej słychać wołanie o teatr. A ponieważ żywo mamy w pamięci, ile zła sprowadziły na świat złe słowa i złe myśli, więc do wołania dołącza się gorące pragnienie, żeby to był **dobry** teatr.

Możnaby myśleć, że 6 lat teatralnego postu zrobiło widza nieczułym na jakość. Otóż nie! I wśród elity inteligenckiej dużych miast i wśród drobnych kupców i rzemieślników małych miasteczek zauważyć się daje bardzo chwalebny krytycyzm. Teatr nie oglądany oczyma milionów uczciwych Polaków urósł do rozmiarów mitycznego bohatera. O ten majestat i uczciwość dopominają się wszyscy: i widzowie zniszczonych sal Warszawy i Pragi, i widzowie w napółspalonych domach ludowych różnych Stoczków, Garwolinów i t. p. Bez względu na to, czy ze sceny płynie ku nam powaga, siła czy smutek — czy też radość, pogoda i śmiech, chcemy mieć wrażenia w najlepszym gatunku, chcemy je unieść ze sobą w nasze życie codzienne, przesycić nimi każdą chwilę, każdy kąt aż do następnego razu. Tak jak być powinno.

Jest więc to chwila osobliwa dla teatru. Ton wzięty dziś obowiązywać będzie długo. Dziś niezawodnie ważą się losy naszej kultury teatralnej.

Stanąć możemy na mocnym fundamencie. Mamy wspaniałą tradycję aktorską i reżyserską; nasza literatura teatralna należy do najwspanialszych; mamy skarb niedoceniony — wspaniały **teatr obrzędowy**, wprawdzie już zamierający w terenie, ale jeszcze dość znany, aby mógł się stać źródłem i natchnieniem wielu pomysłów i chwytów literackich i inscenizacyjnych.

Jako zbiorowość jesteśmy obdarzeni zmysłem teatralnym, który mało ma sobie równych. Aby tylko uważnie spojrzeć w oczy przeszłości, a uczciwie teraźniejszości, będzie można znaleźć mocną i pewną podstawę.

Ale teraz troska o rozbudowę. Położenie wielkich środowisk kulturalnych jest ciężkie; brak reżyserów, aktorów, środków technicznych, ale niebezpieczeństwo zmniejsza obecność wielu ludzi utalentowanych, wykształconych, którzy w ciągłym ze sobą obcowaniu wytworzą w krótkim czasie odpowiednią atmosferę i zapełnią braki. Byle im tylko nie przeszkadzać wielością paragrafów, instrukcji i przepisów. Wystarczy tylko wymagać rzeczy dobrych; a ponieważ konsumenci są na poziomie, więc miejmy nadzieję, że miasta dadzą sobie radę.

Gorzej i to znacznie gorzej jest z t. zw. prowincją. Sił artystycznych dobrze przygotowanych nie starcza nawet na zaspokojenie potrzeb dużych miast. Więc biedne mieściny i wioski radzą sobie w swoim kółku jak mogą. Ktoś umie grać na harmonii, ktoś pamięta parę „szmoncesów“, które widział na rewii w Mińsku Mazowieckim, ktoś śpiewa coś z repertuaru „lekkiego“. Więc powstaje zespół. Wzruszenie jest najczęściej wielkie, ale artystycznego zadośćuczynienia nie ma. Wszyscy czują, że tu czegoś brak i mówią, że to dlatego, że to nie jest **„prawdziwy teatr“**.

Wszędzie na prowincji tęsknią za prawdziwym teatrem. Może wartoby się zastanowić, na czym ta „prawdziwość“ polega? Bo bardzo często, szczególnie w zamożniejszych środowiskach, zdobywają się amatorskie zespoły na akcesoria tak techniczne doskonałe i bogate, że niejeden teatr zawodowy mógłby pozazdrościć: jest więc i kurtyna i światło w rampie dolnej i kilka dekoracji różnego typu: wnętrze, chata, las... „Sztuczkę“ się wybierze, sufler dobrze podpowiada, kostiumy się wypożyczy bardzo ładne i mimo to nie wychodzi.

A są i były teatry bardzo dobre, które grają bez kurtyny, bez dekoracji, kostiumy robią z juty albo papieru, kulis nie ma, wychodzą gdzieś z bocznych drzwi i idą między widzami, na przestrzeni, **która jest** scena, i wszyscy wierzą, że to jest prawda.

Bo mamy do czynienia ze znajomością rzemiosła teatralnego, z rzetelną wiedzą i ze szkolonymi zdolnościami. Ani kurtyna, ani scena, ani światło, ani ludzie pięknie ubrani i umiejący się ruszać i mówić, to jeszcze nie teatr. Każdy z tych elementów w swoim zakresie może być niezły albo i dobry, ale całość nie chce się złożyć.

Czują wtedy i przygodni aktorzy i widzowie, że weszli na nieswoje podwórko, że niewłaściwie uderzyli w jakąś strunę, która im oddźwiękła fałszem.

Kiedy mamy do czynienia z teatrem samorzutnym, samorodnym, z teatrem obrzędowym, którego powstawanie i spełnianie się podlega zupełnie innym prawom (dożynki, wesele, wianki, gry, zabawy), wtedy udział nasz jest tu prosty i **zrozumiały**.

Kiedy wchodzimy w granicę sztuki organizowanej, wyspecjalizowanej, wtedy wchodzi w grę bezwzględnie czynnik świadomej, opartej na zdolnościach, a szkolonej specjalnie wiedzy i umiejętności. Wraz z rozwojem oświaty i upowszechnieniem kultury **sztuka samorzutna** ustępuje miejsca zorganizowanej, świadomej, a ta nie może się obejść bez ludzi rzetelnie do swego zawodu przygotowanych.

Prowincja woła o przewodników artystycznych, aby te koła swoje, które kocha i których nie myśli się wyrzec, mogła ułożyć w piękną harmonijną całość.

JADWIGA RADLIŃSKA

NIEBO BEZ GWIAZD

Sztuka Jadwigi Radlińskiej „Niebo bez gwiazd", której niniejszy fragment drukujemy, jest jednym z nowych utworów scenicznych, zaleconych do grania na scenach polskich przez komisję repertuarową Ministerstwa Kultury i Sztuki.

(Fragment końcowy II-go aktu)

Inżynier

Więc sam nie wiem, czy dobrze robię, namawiając go do tego małżeństwa?

Elżbieta

Przecież to już zdecydowane.

Inżynier

Kto zdecydował?

Elżbieta

No, Szymon i ty.

Inżynier

To dobrze sobie, Elżuniu, jesteś wspaniała. Przecież jest jeszcze czas, nie oświadczył się i matka Zosi nic o tym nie wie.

Elżbieta

A wogóle za wiele sobie zajmujemy czasu Szymonem. Niech się żeni, niech się nie żeni. Co nas to wszystko tak mocno dotyka, czyż nie jest dorosłym mężczyzną... przedorosłym nawet?...

Inżynier

Masz słuszność. Tylko to jednak bliski przyjaciel. Dopóki nie miałem ciebie, on był mi jedynym bliskim człowiekiem. Chciałbym, żeby był szczęśliwy tak jak ja.

Elżbieta

Ty jesteś spokojny i zrównoważony, on — awanturnik, romantyk, niespokojny przy tym i szaławiła...

Inżynier

Więc może niech lepiej wyjedzie na jakiś czas. Muszę z nim tak od serca pomówić w cztery oczy.

Elżbieta

Zdaje się, idą...

(wchodzi Szymon z Zosią)

Szymon

Chciałem państwu przedstawić swoją narzeczoną... Zosieńka się zgadza...

Inżynier

Gratuluję ci, Szymku. A pani, panno Zochno, zrobiła dobry wybór.

Zochna

(pewna siebie)

Nie musi pan Szymona... pana Szymona chwalić. Ja wiem, jaki on jest.

Szymon

A ty, Elżbieto, nic nam nie powiesz?

Elżbieta

Owszem, należy to natychmiast powiedzieć pani Kwiatkowskiej.

Zochna

Och, ja nie wiem, panno Elżbieto, gdyby mama się nie zgodziła, to ja bym...

Inżynier

Na pewno się zgodzi.

Elżbieta

Ja za was poproszę.

Szymon

Nie trudź się, Elżbieto. Myślę, że dam sobie radę.

Inżynier

(nagle zrezygnowany)

No, więc trudno... Napijmy się, Szymku...

Szymon

Wasze zdrowie.

(podnosi kieliszek, wypija i rzuca szkłem o ziemię, szkło pryska)

Kwiatkowska

(wchodząc uśmiechnięta)

A to co za awantura?

Zochna

Pan Szymon, mamo, na szczęście stłukł kieliszek.

Kwiatkowska

Ładne szczęście. Taki piękny kieliszek od kompletu.

Inżynier

Proszę, niechże pani siądzie z nami.

Kwiatkowska

O, dziękuję panu inżynierowi, bardzo dziękuję. Muszę zmieść to szkło, przecież to się kto skaleczy jeszcze.

(wychodzi)

Szymon

Jak teraz przyjdzie, zatrzymaj ją, Janku, chcę jej to przy was oświadczyć.

Elżbieta

Szymonie...

Szymon

Słucham cię...

Elżbieta

Powiedz mu, Janku... no, powiedz mu...

Inżynier

Co mu powiedzieć?

Elżbieta

No, miałeś mu przecież powiedzieć, żeby się jeszcze zastanowił...

Szymon

Elżbieto, co mi radzisz?... Powiedz jak dobry przyjaciel...

(Kwiatkowska wchodzi z miotełką i łopatką)

Szymon

Elżbieto...

Elżbieta

Ja radzę — żenić się.

Inżynier

Teraz już pani nie puścimy. Napije się pani z nami.

(nalewa kieliszki)

Kwiatkowska

Gdzież ja do stołu w tym fartuchu? O jej, aż mi wstyd... Żebym była wiedziała, że już tak koniecznie, to bym się chociaż przyogarnęła... Jakie to ręce człowiek ma zniszczone od tej pracy w kuchni.

Inżynier

Nie szkodzi, droga pani, nie szkodzi. Wszyscy pracujemy. No, więc pani zdrowie.

Kwiatkowska

(pije)

Dziękuje. Ale dobra wódka... mocna, ale dobra...

Szymon

Ja mam do pani prośbę.

Kwiatkowska

Do mnie, pan mówi?

Szymon

Tak. Chciałem prosić, żeby mi pani dała Zosieńkę za żonę.

(Elżbieta uparcie patrzy na Szymona, Inżynier milczy, Zochna spuściła główkę)

Kwiatkowska

(podniesionym głosem)

Pan przecież żartuje. Prawda, panie inżynierze, pan Szymon żartuje?

Inżynier

Nie żartuje, proszę pani. Zwierzał mi się z tych zamiarów.

Kwiatkowska

No, to bardzo mi jest przykro, ale ja nie mam córki na wydaniu.

Szymon

Dlaczego mi pani odmawia i co mi pani ma do zarzucenia?

(Elżbieta nalewa kieliszki, krząta się)

Kwiatkowska

Nic panu nie zarzucam, a i owszem, niesłusznie o panu nieraz źle myślałam, przyznaję. Jest pan porządnym człowiekiem, skoro prosi pan matkę tak jak należy o rękę córki.

Szymon

Więc?

Kwiatkowska

Tylko moja córka jeszcze nie dorosła do małżeństwa. Ja jej nie wydam tak wcześnie, to jest jeszcze dziecko, jeszcze nie była wcale panną. Więc mi bardzo przykro, proszę pana, ale nic z tego nie będzie.

Inżynier

Panna Zosieńka ma chęć wyjść za Szymona.

Kwiatkowska

Ona, proszę pana, nie ma nic do powiedzenia. To jest ważne, co ja powiem.

Szymon

Może jednak zostawić pani czas do namysłu?

Kwiatkowska

Nie, proszę pana, ja nie jestem Zosią i wiem, co mówię.

Elżbieta

Trudno...

Szymon

Tak, to trudno.

(Inżynier i Szymon spojrzeli na Elżbietę)

Inżynier

Wobec tego, choć rzeczywiście bardzo nam jest przykro... napijemy się...

Elżbieta

Napijemy się.

Szymon

Chętnie.

(Zosia nie pije, zaczyna płakać, wyciera oczy chusteczką)

Elżbieta

Nie płacz, Zosieńko.

(odprowadza ją na bok)

Zochna

Ja bym przecież od mamy nie poszła, bylibyśmy zawsze razem.

Elżbieta

Zosieńko, jeszcze nie jeden taki pan Szymon będzie się o ciebie oświadczał. Jesteś naprawdę taka młodziutka. Zapomnisz o wszystkim w bardzo krótkim czasie.

Zochna

Och, nie, nie, co pani mówi, ja o nim nigdy nie zapomnę, och nigdy, nigdy. Żeby pani wiedziała... ale nie powie pani nikomu?

Elżbieta

Nie powiem, nie powiem, słowo.

Zochna

Żeby pani wiedziała, jak on całuje, o Boże kochany!

Elżbieta

Cicho! Nie płacz już i niech Bóg broni, żeby się matka o tym dowiedziała.

Zochna

Niech tylko pani nie powie. Pani mnie lepiej rozumie, niż mama.

Szymon

(podchodząc do kobiet)

Panno Zochno, wola matki jest święta, musimy ją uszanować.

Zochna

Tak się pan prędko zgadza? Nie może pan prosić jeszcze mamy? Mama się upiera. Jacy to są ci mężczyźni.

Elżbieta

Pierwsze rozczarowanie... niech pan odejdzie...

Kwiatkowska

Nie płacz, córuchno, nie płacz. Płaczesz, boś głupia, moje dziecko... Dziękuję za wszystko i za zaszczyt, który mnie spotkał, muszę iść do kuchni, robota na mnie czeka. Zochna pójdzie ze mną i dopóki pan Szymon sobie nie wyjedzie, nie będzie tu przychodziła.

Zochna

(błagalnie)

Mamo...

Kwiatkowska

(kategorycznie)

Powiedziałam już, Zochno.

(Kwiatkowska i Zosia wychodzą)

Szymon

(poważnie)

Nie sądzone mi było.

Inżynier

A ja widzę, żeś ty nie bardzo dotknięty.

Szymon

Mylisz się.

Inżynier

Mała jest biedna jednak. Odczuwa jak kobieta, a traktują ją jak dziecko.

Szymon

Tyle uroku ma w sobie takie niewinne dziewczę.

Inżynier

No, zaczynasz być sobą.

Elżbieta

Wyjdź-że już wreszcie, Szymonie, i przestań grać na nerwach swoją osobą.

Inżynier

Elżbieto...

Szymon

Daj jej spokój, niech mi wymyśla.

Elżbieta

Nie, ja będę poprostu udawała, że ty jesteś ścianą w tym pokoju, na którą się nie zwraca uwagi.

Inżynier

Elżuniu, nie dokuczaj mu. Nie bierz tego do serca, Szymonie. Kto się czubi, ten się lubi.

Szymon

Niech mi Elżbieta wymyśla.

Inżynier

Widzisz, Elżbieto, jaki on zrezygnowany.

Elżbieta

Nie żałuj go, proszę cię. Czyż na miłość Boską nie mamy mieć innych zainteresowań? Czy całe życie zamierzasz wypełnić mi twoim przyjacielem?

(płacze)

Inżynier

Cóż ci się stało, Elżbieto, czyś ty nie chora? Co ci jest, powiedz, miła moja, ja cię dzisiaj nie poznaję. Płaczesz? Czego płaczesz? Szymonie wyjdź, zostaw nas samych, muszę ją uspokoić.

(Szymon energicznie wychodzi)

Elżbieta

(na ramieniu Jana)

Bo ja nie chcę go widzieć już... bo ja chcę, żeby on sobie wyjechał... on jest wstrętny, egoista, ja go nienawidzę... Tak się nam sobą narzuca, że o niczym innym przecież nie ma możliwości pomówić, on i on i wiecznie on... ja mam tego dosyć...

Inżynier

Uspokój się, maleńka, masz słuszność. Ja się też czuję zmęczony, tylko nie mógłbym mu tak dokuczać. Elżbieto, cóż on temu winien, że życie jego nie układa się tak jak nam. On też chciał być szczęśliwy.

Elżbieta

Więc ty jesteś temu winien? Cóż mamy robić, żeby on był szczęśliwy?

Inżynier

Życie jest takie jakie jest, Elżbieto, ciężkie, nieubłagane — jak zechce, błyśnie słońcem, da zakosztować szczęścia w miłości, w dostatku, w sławie... albo poskąpi blasków i na to siła ludzka nie poradzi...

Elżbieta

Mnie go też żal, Janku.

Inżynier

Nie dokuczaj mu więc. Pojedzie sobie w świat, zejdzie nam z oczu, będziesz miała spokój... niedługo...

Elżbieta

Jestem spokojna już...

Inżynier

Ty aniol jesteś dobry i uczynny, będziemy szczęśliwi, Elżbieto.

(Szymon puka)

Inżynier

Wejdź, Szymku, wejdź.

Szymon

Ponieważ będę z wami już niedługo, chciałem porozmawiać jeszcze — tym razem nie o sobie, uspokój się, Elżbieto.

Inżynier

O kim więc, mów...

Szymon

O was, moi drodzy. Umyśliłem nie czekać do waszego ślubu, chcę wyruszać natychmiast. Ale prezent ślubny należy się ode mnie i przyjąć go musicie — żadnych protestów, Janku, błagam cię. Domek, który mam w Słonecznej, ofiaruję wam, mnie już nie będzie potrzebny. Wszystkie dokumenty w tej sprawie mam przy sobie. No, a ponieważ należałoby się Elżbiecie coś specjalnie w prezencie, to Elżbieto — ten pierścionek... przyjmij go... bardzo proszę...

(Elżbieta już od chwili stoi oparta o framugę okna i patrzy na ogród — nie odwraca się)

Szymon

Elżbieto, daruj mi wszystko złe i wspomnij czasem...

Inżynier

Pogódź się z Szymonem, Elżbieto...

(Inżynier pokazuje po cichu Szymonowi, że on wyjdzie na chwilę, niech się przeprosza, i wychodzi)

Szymon

(błagalnie)

Elżbieto...

(Elżbieta odwraca się, w tej chwili pada strzał z rewolweru, Szymon strzelił sobie w piersi)

Elżbieta

(prawie szeptem)

Szymku...

KURTYNA.

Koniec aktu drugiego.

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Więcej światła

Na długiej zygzakowatej drodze postępu nieraz już znajdowały się poszczególne narody, lub grupy narodów, we wstecznych załomach, gdzie wydawać się mogło, że trudy przez nie ponoszone są syzyfową pracą. Cierpiał wówczas dorobek kulturalny ludzkości, lecz samo dzieło cywilizacji nigdy się nie zatracało, przekazywane jak nagroda przechodnia w godniejsze ręce.

Odwieczne prawo reakcji psychicznej każe społeczeństwom zrzucać z siebie nadmierny ciężar upodlenia, odradzać się co pewien czas duchowo. Tak po żywiołowym zalewie barbarzyństwa na gruncie zdegenerowanego Rzymu starożytności, po stuleciach „ery ciemnoty" (Dark age), zajaśniała wspaniale idea chrześcijańska i nastąpił piękny rozkwit ideałów rycerskich. Tak też po zdziczeniu i pożodze Wojny Stuletniej przyszła kolej na skonsolidowanie państwowości, na złoty wiek literatury i sztuki, na solenne wreszcie uznanie praw Człowieka i Obywatela.

I wiele by jeszcze można było przytoczyć przykładów na poparcie przekonania o triumfie dobra i sprawiedliwości na rozległej przestrzeni dziejowej. Historia, powtarzająca się pod różnymi postaciami, pozwala nam zatem wierzyć niezłomnie w bliską erę Odrodzenia, która sowicie wynagrodzi narody za straty moralne i materialne poniesione w czasie ostatniej koszmarnej rzezi.

Era ta niezawodnie nastąpi, lecz na razie stoimy dopiero u jej progu. Zarówno Polska, jak inne kraje świata. Dziś odrodzenie jest jeszcze postulatem. Nazywając nasze wyzwolone Państwo odrodzonym, nie tyle stwierdzamy istotny stan rzeczy, ile dajemy wyraz woli i mocnemu postanowieniu uczynić Państwo takim, aby na miano Odrodzonego w pełni zasługiwało.

Skierowany do tego celu gigantyczny wysiłek zbiorowy, dokonywany na każdym odcinku życia społecznego, winien przejawiać się ze wzmożoną energią w warsztatach artystycznych, skąd wychodzą dzieła sztuki, mające magiczny wpływ na dusze ludzkie, — a wśród tych kuźnic nowej ery jedną z najpotężniejszych musi być Teatr.

Żyjemy w dobie nieprawdopodobnych kontrastów: gruzów obok wytwornych pałaców, lampy naftowej i neonów, marnie sklecorych wehikułów konnych i aerodynamicznych samolotów. Żyjemy w sferze działania szabrowników, spekulantów, sabotażystów i bandytów, a z drugiej strony — pełnych poświęcenia pionierów kultury społecznej i artystycznej. Między tymi biegunami krzątają się pracowicie wśród ruin wielomilionowe rzesze, pragnące lepszego jutra. Tym ludziom trzeba przecie dać coś ponad chleb powszedni, należy się im od dnia dzisiejszego jakaś radość.

Opromienić życie stroskanych rzesz widokiem piękna oto szczytne zadanie teatru w wyzwolonym Państwie, jego misja społeczno-wychowawcza i humanitarna, od której nie wolno mu się uchylać.

Chcąc mieć oczy otwarte na współczesną rzeczywistość, bez czego nie podobna zbudować przyszłości Państwa, musimy szczerze powiedzieć, że akcja upowszechnienia kultury teatralnej, której znaczenie stało się już aksjomatem, nie wyszła dotąd poza ramy inicjatywy dorywczej i bezplanowej. Dane napływające z różnych terenów świadczą wymownie o znikomości podaży w stosunku do popytu. Smutno się robi, gdy czytamy w sprawozdaniu z występów bardzo skromnej brygady objazdowej, jak to starszy mieszkaniec wsi wezwał dzieci do spokojnego zachowania się, mówiąc, że „takiego pięknego przedstawienia Zakrzówek jeszcze nie miał i pewnie prędko mieć nie będzie!" I obrzucono tam artystów kwiatami.

Rozprowadzenie kultury teatralnej na wsi jest oczywiście sprawą dłuższego czasu. Wiele tęgich umysłów — że wymienię choćby Lucjana Rydla — badało zagadnienie organizacji docierających na wieś teatrów objazdowych i widowisk tworzonych przez samą wieś. Największych trudności nastręczała, jak wiadomo, przed wojną kwestia dobrania repertuaru odpowiadającego psychice chłopskiej. Dzisiaj, kiedy układ psychiczny ludności wiejskiej doznał tak radykalnych przemian, sprawa wymaga przemyślenia od nowa. Zadanie to podjął Związek Teatrów i Chórów Ludowych, który ostatnio uzyskał możliwości zaopatrzenia swych bibliotek.

Ale pozostawiając na razie na uboczu głęboki problem teatrów dla wsi, musimy stwierdzić z żalem, że i w miastach naszych, gdzie warunki pracy teatralnej są korzystniejsze, kwestia właściwego repertuaru dla przejściowego okresu kształtowania się nowych warunków społecznych daleka jest jeszcze od rozwiązania.

Przykro, że wypada to powtarzać aż do znudzenia, lecz widzimy niestety, jak niektóre sztuki zupełnie nieodpowiednie grasują wprost epidemicznie po całym kraju. Do takich należą m. in. „Skiz" i „Lekkomyślna siostra". Nikt nie będzie chyba twierdził, by spod pióra Zapolskiej wyszła rzecz pozbawiona znamion talentu i nikt nie zaprzeczy walorów komedii Perzyńskiego, trzeba jednak przyznać, że „Skiz" walkuje sprawy błahe, osadzone w środowisku nieciekawym, a „Lekkomyślna siostra", która zapewne odzyska z czasem swą wartość jako sztuka historyczno-obyczajowa, dziś, po niedawno przeżytych wstrząsach, wydaje się zwietrzała.

Nie jest winą reżyserów i dyrektorów teatralnych, że gdy przyszło o północy wyzwolenie, współcześni autorzy dramatyczni upodobnili się, wskutek głębszych przyczyn natury psychicznej, owym pannom z przypowieści ewangelicznej, które nie mogły zaświecić swych lamp oliwnych. Lecz rzeczą reżysera jest wybrać z bogatego skarbca literatury naszej lub obcej to, co najlepiej harmonizuje z godziną dziejową.

Niedawno w pewnej dyskusji, w momencie popularyzowania problemu polityki repertuarowej za pomocą metafor, padło ze strony przedstawicieli wielkiej sceny ironiczne pytanie: co lepiej — jeździć na kucyku czy dosiąść przedwczesnie rumaka, by z niego sromotnie spaść? Odpowiedź brzmi prosto: jednemu rumak, — niechaj by i ariostowski hipogryf, — drugiemu pony, — według możliwości, byle nie drewniane konie karuzeli, kręcące się bezmyślnie w koło. Bo żaden zespół nie wykształcił jeszcze widza i nie doszedł sam do formy, odbywając „wprawki techniczne" na tandecie.

Co grać i jak — decydują ludzie teatru, widz natomiast nieraz dobrze wyczuwa, czego grać nie należy.

Otóż zdaje mi się przede wszystkim, że nie należy grać wczorajszych aktualności, nie należy wyłamywać otwartych drzwi. Można byłoby wydrukować na tych łamach obszerniejszą recenzję z wystawionego w lubelskim Teatrze Miejskim „Walącego się domu", lecz wszystko co by się w niej powiedziało o świetnej grze Chmielewskiego, o denerwującym rozdygotaniu Samochockiego, staje się mało ważne wobec faktu, że sztuka bije dziś w próżnię, że dokonana reforma rolna nie potrzebuje usprawiedliwienia, że problem imania się „nieszlacheckich" zawodów jest o wiele lepiej ujęty w „Lalce" i że ze sceny wieje śmiertelna nuda, a widok brzydoty moralnej gnębi widza jeszcze więcej niż w „Lekkomyślnej siostrze" (napisanej przynajmniej z talentem).

Nieprawdą jest, jakoby pokutująca w różnych teatrach sprośna szmira, na którą wstęp młodzieży jest wzbroniony, rozwiązywała najlepiej zagadnienie rozrywki dla ludzi przytłoczonych nadmiarem trosk. Natomiast nie ulega wątpliwości, że widz dzisiejszy, z jakiejkolwiek bądź warstwy społecznej pochodzący, pragnie oderwać się od brzydoty i mroku, pragnie światła i piękna — z bajki lub z prawdziwego zdarzenia.

Temu pragnieniu winno stać się zadość, skoro hasłem dnia dzisiejszego ma być optymizm, pobudzający do pracy. Misja społeczna teatru nie jest równoznaczna z zamianą sceny w trybunę, gdzie się wytacza ciężkie armaty retoryki. Pożytek sztuki teatralnej dla społeczeństwa płynie z promieniowania prawdziwego artyzmu, który uszlachetnia dusze. Piękno, heroizm, ideał, mądra, wesoła satyra według zasady **ridendo castigare mores**, oto czego wymaga od teatru nowe życie. Niechaj przywdzieje szaty godowe i uczy rzesze szlachetnej sztuki radowania się przez podziw dla rzeczy wzniosłych.

Reżyseria nie może nadal polegać na opędzaniu potrzeb dnia dzisiejszego. Problem planowego repertuaru winien być konkretnie rozwiązany, powiedzmy, na jakiejś konferencji międzyteatrowej. Może wtedy zostaną odłożone do lamusa sztuki bez światłocienia, sztuki papierowe, rezonerskie, wszelka tandeta będąca pożywką dla bezstylowego naturalizmu; uwzględni się wówczas hierarchię zagadnień i uniknie takich błędów, jak raczenie widza na przestrzeni trzech aktów sztucznymi ogniami „marivaudage'u", w „Starym Teatrze" krakowskim; Teatr Miejski w Lublinie wyjdzie z okresu „wprawek technicznych", a teatr prowincjonalny będzie wystawiał rzeczy bardziej dostępne zrozumieniu miejscowej publiczności niż „Głupi Jakub" Rittnera, w opracowaniu którego zespół ochotniczy włożył nadaremnie tyle rzetelnego wysiłku. Właściwe sztuki znajdą się na właściwych scenach.

Bo droga doraźnego poszukiwania „egzemplarza" prowadzi na ślepy tor.

A przede wszystkim więcej światła, więcej optymizmu!

HENRYK SYSKA

Karabin, pług i pióro

To, że lud polski już od szeregu wieków posiadał własną poezję, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Nie można jednak momentów tych włączyć do literatury w ścisłym tego słowa znaczeniu. Lud polski tworzy, ale tylko ustnie. Tą też drogą przekazywał dorobek swojej kultury duchowej, z pokolenia na pokolenie, z obszaru na obszar. Treść jej w odpowiedni sposób modyfikowana przetrwała do dzisiejszych czasów. Ale wartości twórcze chłopa polskiego mają na przestrzeni owych wieków bardzo ważny walor dla dorobku literackiego w sensie narodowym. Stanowiły one źródło natchnienia dla wielu najwybitniejszych rozsłewców polskiego słowa. Upośledzona przez długie stulecia pod względem społecznym, politycznym i gospodarczym, była wieś obiektem ogólnych zachwytów, wynikających z jej sielankowego napozór i spokojnego życia. Sięgają do jej niespożytego źródła już w epoce odrodzenia poeci tej miary co Kochanowski, Szymonowicz, Gawiński i inni. Wiek XVIII jest świadkiem rozpowszechnienia sielanki. Nabiera dużego rozgłosu „Zośka, czyli zaloty wiejskie" Kamińskiego, budzą wzmagający się zapał demokratyczny „Krakowiacy i Górale" Bogusławskiego, pisze ją i to w mazurskiej gwarze pan możny i dumny ks. Michał Radziwiłł.

Wielki przełom na tym polu przyniosły hasła romantyczne. Dalsze okresy historii literatury żyją również pod hasłem wzmożonego zainteresowania kulturą ludową. Zarówno Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, jak Zalewski, Goszczyński, Konopnicka, Żeromski, Sienkiewicz, Orzeszkowa oparli swe utwory na motywach ludowych. To samo, jeżeli chodzi o muzykę. Przemawiają tu: Szopen, Moniuszko, Szymanowski, Karłowicz, a z malarstwa uczniowie szkoły Norblina, Stachiewicz, Chełmoński i cały szereg innych.

Wchodziła więc wieś polska do poezji, powieści, muzyki i sztuk plastycznych ale tylko w charakterze przedmiotowym. Sama zaś jako podmiot stała na uboczu. Zanosiło się jednak na odmianę. Pod naporem rozszerzających się haseł i wystąpień żywiołów demokratycznych skonała pańszczyzna. Rozkołysała się fala ruchu ludowego. Chłop polski zaczął myśleć, patrzeć wyraźniej w przyszłość. Poczuł się naraz człowiekiem, Polakiem, obywatelem kraju. Z dnia na dzień wzrastał na siłach. Nagromadzony w nim potencjał duchowy krępowany kajdanami poddaństwa szukał ujścia na zewnątrz. I znalazł je.

W rozchodzących się tysiącami egzemplarzy czasopismach w rodzaju „Wieńca", „Pszczółki", „Zorzy", „Siejby"... Wreszcie w wydanych oddzielnie zeszytach. Było to już na początku obecnego stulecia. Liczniejsze okazy piśmiennictwa ludowego pojawiły się po raz pierwszy na terenie Galicji, skąd pod koniec wieku XIX przekroczyły granice Królestwa. Dopiero jednak na przełomie wieków, kiedy podrosły pokolenia, które w dzieciństwie przeszły elementarną szkołę, w atmosferze duchowej, która szła od krakowskiej „Młodej Polski" i obudzonych przekonań, „że chłop jest potęgą" zjawiają się pierwsze książki pisarzy wiejskich. Jest to historyczny rok 1905, wychodzi w nim zbiorek Jantka z Bugaja p. t. „Blade kwiaty z wiejskiej chaty" oraz Ferdynanda Kurasia: „Spod wiejskiej strzechy". Rok ten w rozwoju literatury chłopskiej ma znaczenie nie mniejsze jak w literaturze narodowej rok 1543 dla odrodzenia, 1822 dla rozwoju polskiej epoki romantycznej. Tak to w pobieżnym zarysie przedstawia się sprawa narodzin piśmiennictwa ludowego.

Było ono wyrazem dążeń polskiego chłopa, odbiciem nastających w nim uczuć, utrwalonym na zawsze dokumentem jego naturalnej wartości. W zaduchu kurnych chat, na wpół rozwalonych czworaków, przy bladym świetle kominkowego światła rodził się śpiew duszy chłopskiej. Towarzyszył jej bezkres nędzy materialnej, niepohamowany pęd ku lepszej doli. To znana powszechnie „tragedja tworzenia" jak pięknie i dosadnie określił Wojciech Skuza. Wzrastali pośród niej pierwsi nasi pionierzy: Jan Rak parobek dworski z Husowa, Ferdynand Kuraś z Wielowsi pod Tarnobrzegiem, Jantek z Bugaja, Franciszek Magryś tkacz wiejski z Handrlówki koło Łańcuta, Jakub Bojko z Gremboszowa, Jan Słomka długoletni wójt dzikowski, Maciej Szarek z Brzegów, Stanisław Siennicki spod Ostrowi Mazowieckiej i wielu, wielu innych. To sztandarowe postacie w dziejach „tworzącej wsi". Przezwyciężyli ogromne przeszkody, by poprzez „ciernie żywota" przedrzeć się, wypłynąć na światło dzienne, dać znać o swoim życiu i pracy. Spełniła literatura ludowa bardzo wielkie i ważne zadanie. Ona stanowiła rolę pługa rodzinnego, który uporał się ciężko z przeoraniem nędznej, zapuszczonej chłopskiej niwy.

Ona udowodniła wyraziście, że chłop stworzony jest nie tylko do „pługa, bron i wideł", jak starali się wmówić w niego wysoko urodzeni opiekunowie, ale zdolny jest do czegoś więcej niż „patrzeć w ziemię i wyzłacać dolę możnych". Ona torowała masom pracującym poprzez mroki niedoli drogę ku sprawiedliwej Polsce ludowej.

Aby twórczość ludowa spełniała jeszcze z większym skutkiem swą misję, winna być ujęte w odpowiednie formy organizacyjne. Próby poczynione w tym kierunku na wiele lat przed wojną mimo szczere wysiłki i poświęcenie licznych jednostek nie zostały doprowadzone do końca. Złożyły się na to różnorodne przyczyny.

Najgłówniejszą z nich — to brak zainteresowania ze strony czynników państwowych. Zogniskowanie w jednym żywotnym punkcie wszystkich talentów spod wiejskiej strzechy — to nakaz chwili, to zadanie jakie ma przed sobą Odrodzona Ojczyzna. Z radością stwierdzić należy, że sprawa ta jest przedmiotem coraz częstszych dyskusji i nie ulega wątpliwości, że w najbliższym czasie zostanie należycie rozwiązana. Poruszając zagadnienie „wsi tworzącej", nie można pominąć milczeniem inicjatywy, jaką już w czasie walki konspiracyjnej podjął w podziemiach działacz ludowy i zarazem literat ob. Józef Nikodem Kłosowski („Lemiesz") w ciężkich niezmiernie warunkach na skrwawionej w bojach wyzwoleńczych ziemi lubelskiej. Skupił on wiele talentów chłopskich, które pokrzepione na duchu, zwartą gromadą, dzierżąc w jednej garści karabin, w drugiej pióro, dążyły zwartym nieustępliwym marszem chłopskim ku wyłaniającej się z oparów krwi i jęków — Nowej Polce. Byłoby bardzo pożądane, aby ta piękna, mało znana jeszcze kartka z dziejów walk na odcinku kulturalnym znalazła się na powierzchni w obszerniejszym opracowaniu.

DR STEFAN WOJCIECHOWSKI

Śladami historii

O herbie miasta Lublina

(Próba genezy)



II.

(dokończenie).

W kulcie ludów indo-europejskich ziemi zawsze oddawano cześć boską. Wspomnieć wystarczy podania greckie o Deukalionie (nowi ludzie po potopie powstają z kamieni, które uważano za kości ziemi, matki wspólnej wszystkiego stworzenia), Gigantach (synach Gaji, będącej uosobieniem a raczej ubóstwieniem ziemi), Demetrze (bogini uprawy ziemi). U ludów słowiańskich „kult był kultem sił przyrody uduchowionych, uczłowieczonych, w końcu odczepionych od tej podstawy naturalnej... Pierwotny kult jasnego nieba dziennego z słońcem i ziemi przerodził się w kult ognia na niebie i ziemi".

W kulcie początkowo rośliny, następnie drzewo, wreszcie pochodna forma drzewa — kłoda, dużą bardzo odgrywały rolę. Drzewo było najlepszym uzewnętrznieniem życia, najwyraźniejszym symbolem odnawiania się. Obrzędy różne w borach dokonywane, gaje święte, to zewnętrzne widome cechy kultowe. Do dnia dzisiejszego przetrwał wiosenny obchód „gaiczek", który „pięknie umajony, pięknie sobie chodzi, bo mu się tak godzi", jak powiada pieśń przy tej okazji śpiewana. W drzewie, w jego dziuplach składano ofiary (na Pomorzu nadodrzańskim w XII, na Litwie jeszcze w XV wieku). Z drzewa wyrabiano przedmioty kultowe takie jak słupy czy kłody, najprymitywniejsze, ale i najwcześniejsze wyobrażenia bóstwa. Ze słupa prostego w starożytnej Grecji początek wzięły hermy. Na heraldyce średniowiecznej kłoda bardzo silne wycisnęła piętno. Kopia np., forma pochodna kłody, czczona zresztą na Pomorzu nadodrzańskim jeszcze w XII wieku, w różnych postaciach i w naszych przejawia się herbach. Najwyraźniej zjawisko to występuje w herbie Jelita. Drzewo w postaci pnia mamy w herbie Nieczuja.

Teriomorficznym wyrazem kultu drzewnego jest kult konia i kozła. Powszechnie znane i dlatego nie wymagające omawiania ani uzasadniania, obchodzenie w święta zimowe domów z koniem czy też zwanym turoniem jest pięknym reliktem tego kultu. W heraldyce naszej ma to swój odpowiednik w herbach takich, jak Stary Koń, Starża, Jelita, Kozie głowy, Półkozic i wielu innych. Herb Jelita jednoczy bardzo ściśle kult kłody-drzewa, wyrażony przez trzy kopie na tarczy z kultem zwierzęcym, wyrażonym przez kozła w klejnocie (nad tarczą). Lelek-kozodój lub lelek (równoznaczne z diablem), lelkonik i obchód krakowski lajkonika czyli lalkonika, lala jako kukła drewniana, to motywy, które się same nasuwają i każą wiązać wszystko co się z nimi łączy w jedną całość z omawianą przez nas kwestią.

Uroczyście święcone w określonych terminach i miejscach obchody związane z kultem tych właśnie przedmiotów (ziemi, roślin, drzew i zwierząt) znano zupełnie dobrze jeszcze w XV wieku. Długosz stworzył swoistą i dosyć wymyślną mitologię polską, nieznachodzącą podstaw do przyjęcia przez badaczy polskich. Kiedy jednak tak napisał: „bogom i boginiom Polacy świątynie, obrazy, kapłanów i obchody i gaje ustanawiali i świętości i cześć im po ważnych i bardziej uczęszczanych miejscach obchody z ofiarami urządzano, na które schodzili się mężczyźni i kobiety z dziećmi... Na cześć ich w pewne czasy doroczne igrzyska ustanawiano i urządzano... Obrządek tych igrzysk i niektóre ich resztki powtarzają Polanie, chociaż od lat pięciuset wiarę chrześcijańską wyznają, aż do dziś corocznie we dnie Świąt Zielonych i wspominają dorocznym obchodem swoje dawne pogańskie przesądy, zwanym Stadem w ich języku, ponieważ na ów obchód ludzie stadami się schodzą i rozdzieleni na gromady dokonują go, w duchu bujni, niespokojni, skłonni do rozkoszy, próżnowania i biesiad", kiedy zatem Długosz tak napisał, nie mamy żadnych podstaw, aby nie wierzyć temu. Skoro zimowe obchody, których reminiscencją bardzo słabą, zupełnie już niezrozumianą, jest turoń, żyły, to znaczy były powszechnie obchodzone i dobrze napewno rozumiane, do roku 1420 t. j. do czasu synodu poznańskiego, który je potępił i świętować zakazał, widać, że były bardzo silnie zakorzenione pośród ludu, jako ugruntowane na wielowiekowej tradycji. W tych wiosennych obchodach i igrzyskach, których ośrodkiem było uroczyste, niemal sakralne dbanie o utrzymanie gatunku, dużą rolę odgrywał chmiel. Chmiel był symbolem płodności. Z tych kultowych igrzysk i obchodów znaczenie jego przeniosło się na uroczystości weselne, gdzie uwidocznione zostało w pieśni kończącej obrzęd weselny. Charakterystyczne jest, a nawet dziwne, że obrzęd ten i pieśń przy nim śpiewana przetrwały w tym znaczeniu do naszych czasów.

Skoro więc trzy pierwsze elementy ściśle się wiążą z herbem, czyż czwarty, ta roślina pnąca, może nie mieć żadnego związku z obrzędowością? Napewno i ów czwarty element herbu stać musiał w ścisłej łączności z trzema innymi. W takim zaś wypadku mógł to być, jak z powyższych rozważań wynika, tylko i jedynie chmiel. Czyż zaś tak trudno było z trójdzielnego liścia chmielu na rysunku zrobić pięciodzielny liść winnej latorośli? Czyż zamiana mało wyróżniającego się kształtu na bardziej szlachetny, przy generalizującym traktowaniu rysunku herbowego, była tak trudna? Więc nie obca nam winna łoza, ale swojski chmiel musiał być pierwotnie tym czwartym elementem naszego herbu. Wyraziściej to wystąpi, gdy spróbujemy poszczególne elementy omawianego herbu zestawić i poszukać dla nich uzasadnienia w topografii i historii.

Lublin stary, przedchrześcijański, był z racji swojego położenia na pograniczu obszaru parkowo-lessowego na południu i lesistego na północy, w widłach rzek Bystrzycy i Czechówki, na szlaku łączącym Wisłę i Bug, czy raczej Bałtyk i morze Czarne, na krańcu wschodnim naszego etnograficznego terytorium — ośrodkiem niezmiernie ważnym, punktem stykania się różnych kultur, języków, ośrodkiem wymiany wartości tak materialnych, jak i duchowych. W tym to starym Lublinie, w najbardziej obronnym jego punkcie, na samym końcu cypla obniżającego się z zachodu ku wschodowi i wciśniętego między zabagnione doliny dzisiejszych rzek Czechówki i Bystrzycy z Czerniejówką, leżał święty gaj dębowy. Gaj ten istniał, jak to stwierdzić możemy na podstawie znanej legendy o śnie Leszka Czarnego, jeszcze 1282 roku. Legenda owa opowiada, że Leszek ścigający Jadźwingów właśnie pod starym dębem w Lublinie miał sen proroczy, zaczem, odniósłszy nad wrogiem zwycięstwo na miejscu snu i dębu, pod którym miał wspomniane widzenie, zbudował kościół pod wezwaniem św. Michała Archanioła. Jak silnym tym samym musiał być Lublin ośrodkiem kultowym, skoro jeszcze w 300 lat po przyjęciu chrztu przez jego mieszkańców zdołał się w nim utrzymać ten obiekt dawnego kultu religijnego i skoro trzeba było dopiero niemal że cudu, aby móc resztki tegoż gaju świętego, ale pogańskiego pochodzenia, usunąć i zastąpić gmachem kościoła katolickiego?

Taki ośrodek kultowy musiał mieć swoje obchody, uroczystości i to cieszące się dużą frekwencją. Obchody te przetrwały napewno w czasy chrześcijańskie. Lubelszczyzna leżąca na krańcu Polski piastowskiej bardzo długo przechowywała dawne zwyczaje. Czy więc Długosz, pisząc o istnieniu w Polsce sobie współczesnej, zatem w 500 lat po przyjęciu chrztu, igrzysk pogańskiego pochodzenia, nie miał przypadkiem przed oczyma lubelskich obyczajów z XV wieku? Przecież bywał w Lublinie, mieszkał na zamku królewskim, mógł więc być nawet naocznym świadkiem tych obchodów wiosennych w naszym mieście, mógł na nie patrzeć z okien zamku! Obchody te przekształca, a nawet ruguje z biegiem czasu, nowy kult, większy i powszechny, przekreślający święty gaj i uroczystości jego. W XV wieku na wzgórzu lubelskim, w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca, gdzie do niedawna stał święty gaj pogański, w kościele dominikańskim, zjawiają się relikwie Krzyża Świętego, największej relikwi kościoła katolickiego. Uroczystości związane z tymi relikwiami a obchodzone w terminie wiosennym do dnia dzisiejszego cieszą się olbrzymią frekwencją i ściągają z dalekich okolic tysiące wiernych. Nie wolno twierdzić, ale można przypuszczać analogicznie do innych świąt kościelnych, że te kościelne obchody i pielgrzymki były właściwą dopiero przyczyną całkowitego zniknięcia dawnych wiosennych obchodów odprawianych na lubelskim pagórze.

Skoro zatem powstawał herb naszego miasta, nie było to obojętną rzeczą, co się miało znaleźć na jego tarczy. Uroczystości dawne, nadające miastu charakter i będące ongiś jedyną może atrakcją dla dalszych obszarów, w tym czasie napewno już znikały. Jeśli jednak i tak było, to wzgórze, na którym powstał „nowy" Lublin, budziło jeszcze jakieś reminiscencje w pamięci ogółu i cieszyło się nadal przekazywaną dziedzicznie czcią. Trudno je zatem było pominąć w herbie. I tak kult ten, jako wspomnienie dawnego kultu ziemi, znalazł wyraz w pagórku ziemnym na herbie miasta.

Owe dawne wiosenne obrzędy połączone były zapewne nadal z pewnym ceremoniałem, przedmiotami, roślinami. Z tych to przeżytków kultowych brano dalsze elementy herbowe i stąd na tarczy herbowej reprezentowany jest i kult drzewa przez słup, i kult zwierzęcy przez kozła, i symbol płodności wreszcie uwydatniony jest przez roślinę tejże płodności poświęconą, chmiel. Ludność miasta jeszcze w XV wieku, skoro wiemy, że do XV w. owe uroczystości wiosenne nie tylko przetrwały, ale istniały i żyły, mogła rozumieć, czym była kiedyś jej osada, jakie było jej znaczenie, mogła dawne, korzystne dla siebie pod względem gospodarczym czasy nieraz sobie przypominać. Stąd też to, co jej te czasy odświeżało i co już dawniej od innych osad ją na zewnątrz wyróżniało, te właśnie najcharakterystyczniejsze fragmenty a zarazem symbole wspaniałych obchodów ludowych, jako elementy herbowe chciała utrwalić.

Zamiana jednego elementu, chmielu, na winną łozę dokonała się najwidoczniej już znacznie później, kiedy zapomniano, co poszczególne części herbu miały reprezentować, i kiedy chciano winną łozą herb miasta a tym samym i miasto związać bądź to z kultem chrześcijańskim bądź też ze starożytną grecko-rzymską kulturą.

Gdybyśmy zatem stanęli na stanowisku powyższym i tę próbę genezy herbu naszego miasta podtrzymując, chcieli ją utrzymać, należałoby sięgnąć także i do genezy nazwy naszego grodu. Wywodzi się ją dzisiaj od imienia „Lubło" i uważa za nazwę t. zw. dzierżawczą, tego samego rodzaju co np. Wrotków i t. p. Zdaje się jednakowoż, że gród nasz był starszy od tego rzekomego założyciela czy właściciela. Był przecież osiedlem kultowym, osiedlem obchodzącym uroczyście i hucznie wiosenne święto życia, budzącego się życia, miejscem kultu płodności i jako taki nie mógł być własnością jednostki. To, co płodzenie warunkuje, miłość czyli lubienie, mogło się przejawić i w nazwie tego ośrodka, związanego z obchodami stałych uroczystości poświęconych miłości. Czy zatem nazwa „Lublin" nie powstała raczej z pierwiastka „lub", ze słowa lubieć, przekształconego z biegiem wieków? Czy nie był to gród „lubienia" raczej niż „Lubła"?

Nie wyjaśni nam dzisiaj tych spraw definitywnie żadne źródło, nie pomoże w rozwikłaniu tych zagadek żadne nowe odkrycie. Nic nam nie wolno nam przyjmować i takie rozwiązania tych zagadnień, jak powyższe.

TEATR LUDOWY

Upowszechnienie kultury i sztuki to hasło dzisiejszych poczynań na odcinku prac kulturalnych.

Odtworzyć drogi poznania szerokim masom do źródeł kultury, do poznania piękna odczuwanego zmysłami przeciętnego człowieka — to praca tych, którzy stanęli jako przodownicy na tym ważnym odcinku życia człowieka.

Jedną z form poznania, a jednocześnie pogłębienia istotnej wartości kultury i sztuki na szerokim odcinku pracy człowieka jest teatr ludowy. Teatr ludowy nie ten, który był przygotowany dla wsi jako akt miłosierdzia kulturalno-społecznego dla ludu, jako dodatek oświatowo-rozrywkowy, teatr, w którym przedstawia się często chłopa jako typ nieokrzesanego Maćka.

Teatr ludowy — to teatr, w którym odbić się musi całe życie dzisiejszej wsi. Życie zaś wsi i jej szybki rozwój przyniosły nowe treści, nowe konflikty, marzenia i tęsknoty, które domagają się właściwej wypowiedzi w teatrze. Wieś się budzi do nowego życia, z uporem idzie ku nowej historii i właśnie chciałaby się zobaczyć na scenie w tej nowej postawie.

Chłop polski ma w sobie ogromne poczucie odpowiedzialności za sens życia. Często prosta kobieta wiejska zawstydziłaby swoją postawą i powagą miejską „damę" z tak zwanego świata cywilizowanego.

Te wartości musi mieć w sobie teatr ludowy. Musi on być siłą młodości, siłą dźwigania się i walki o wyższe wartości kultury polskiej, tak jak siłą młodości jest wieś, jeszcze niewyżyta, daleka od zmierzchu, a rozpoczynająca dopiero swój żywot.

Stąd też to teatr ludowy szukać będzie natchnienia i treści — w pracy i życiu człowieka wsi.

Rodzima pieśń, w formie inscenizacji, ukaże się na scenie, w świetlicy lub na wolnym powietrzu. Teatr obrzędowy będzie polegał na realizacji inscenizowanych obrzędów, związanych z rokiem słonecznym, życiem rodzinnym i pracą na roli, a wyrazi się też scenicznie w różnych weselach, świętach wiosny czy też dożynkach, w pięknym tańcu ludowym, tak dobrze odbijającym charakter i duszę regionu, w którym się zrodził. Wreszcie w formie t. zw. teatru „z głowy" przedstawi się najbardziej interesujące problemy środowiska.

Tak pojęty teatr musi się stać własnością całej wsi. Wieś go musi tworzyć i wieś ma być jego głównym odbiorcą.

Jakże wielkie pole do pracy na tym odcinku! Dzisiejsza wieś jest już zorganizowana w zespoły i różne grupy. Tam teatr wiejski znajdzie swoje ogniska. Koła młodzieży wiejskiej, spółdzielnie, świetlice, kursy wieczorowe, uniwersytety ludowe i niedzielne zajmą się tą pracą. W ich trudzie i kłopotach pomoże im organizacja specjalnie w tym celu powołana — Związek Teatrów i Chórów Ludowych.

Organizacja ta o charakterze społecznym, skupiająca w swym gronie ludzi oddanych całą duszą sprawie teatru ludowego, zakreśliła sobie za cel realizację szerzenia kultury ludowej, wyrażonej w pieśni, słowie czy muzyce. Do pracy zaprasza wszystkich. Ci, którzy na tym odcinku już pracowali i mają poza sobą wyniki pracy, niech się podzielą swoimi doświadczeniami, a może już wypracowanymi formami na gościnnych łamach „Zdroju". Wreszcie chce mieć z sobą i tych, którzy chcieliby rozpocząć dopiero pracę. Służyć im będziemy radą, opieką, a jeżeli to będzie możliwe — pomocą. Chcemy wytworzyć w społeczeństwie wiejskim jak najszerszy krąg osób tworzących teatr ludowy. Chcemy wytworzyć w mieście zrozumienie i przekonanie, że teatr ludowy jest wytworem duszy i serca polskiego, przez co winien stać się wartością i własnością narodu.

S. F.

KRONIKA

Festiwal Muzyki Polskiej w Krakowie

Z okazji Zjazdu Kompozytorów Polskich w Krakowie w dniach 29—31 sierpnia r. b. odbyły się trzy koncerty poświęcone wyłącznie współczesnej muzyce polskiej. Dwa symfoniczne i jeden koncert kameralny objęły utwory pochodzące z różnych lat; przeważnie wykonano utwory napisane tuż przed wojną lub też pochodzące z czasów wojny. Na zamkniętych koncertach w Polskim Wydawnictwie Muzycznym odegrano szereg utworów o charakterze kameralnym. W ten sposób dano możność przeglądnięcia części dorobku muzycznego, obejmującego dość znaczną ilość utworów, reprezentujących kilku najpoważniejszych twórców muzycznych Polski.

Na czoło wszystkich kompozycji wysunęły się niewątpliwie fragmenty z niedokończonych „Litanii" **Karola Szymanowskiego** (słowa Lieberta). Dzieło to, nieukończone z powodu śmierci, przedstawia się jako dwa fragmenty napisane na chór żeński i solo z tow. orkiestry. Prowadził „Litanie" **Walery Berdiajew**, kapelmistrz, którego „odkryliśmy". Nikt nie przypuszczał, że ten — przed wojną na uboczu trzymany muzyk — pokaże taki lwi pazur w dyrygowaniu powierzonymi mu utworami.

Indywidualność **Romana Palestra** zarysowana była już przed wojną. Trochę przekory tkwiło w jego muzyce, niedopuszczającej nieomal czynnika subiektywnego. Tymczasem w odegranej symfonii (na pierwszym koncercie) część druga w charakterze „passacaglii" wykazała, że szczery liryzm nie jest mu obcy.

Symfonia **Artura Malawskiego** aspiruje b. wysoko. Pisana dużymi rzutami, jest nieco za szeroko rozbudowana. Doskonałość instrumentacji nie zawsze ratuje zwartość formalnej struktury. Kompozytor ulega jeszcze pokusom czystej wirtuozerii orkiestrowej, gotów nieraz poświęcić walory muzycznej konstrukcji na rzecz efektu orkiestrowego. Niemniej przeto dzieło przedstawia poważną pozycję w twórczości symfonicznej naszej muzyki.

Koncert na głos z orkiestrą **T. Zygiryda Kasserna** znany był przed wojną. Konfrontacja z obecną rzeczywistością potwierdza tylko wartość tej kompozycji, która pisana w latach młodzieńczych kompozytora nosi na sobie wszelkie znamiona bezpośredniej ekspresji i romantycznego nieomal wyrazu. Cudowna interpretacja Ewy Bandrowskiej-Turskiej sprawiła głębokie wrażenie na słuchaczach, oklaskujących gorąco autora i wykonawczynię.

Fragment z baletu **Piotra Perkowskiego** wykazuje wszystkie zalety talentu Perkowskiego. Świetnie instrumentowany, pełen liryzmu, to znów spontanicznych wybuchów, był bardzo interesującą częścią programu pierwszego koncertu. Zdarzyło się, że dzień później słyszałem jedną z „Ut japońskich" Perkowskiego w wykonaniu Ewy Bandrowskiej-Turskiej. Co za wspaniała muzyka! Ciekawe, że piękny talent Perkowskiego przejawił się z taką niezwykłą siłą w tych skromnych piosenkach.

Uwertura **Grażyny Bacewiczówny** umieszczona była w programie bardzo niefortunnie. Jest to muzyka efektowna, wesoła, pełna niefrasobliwej inwencji, winna była raczej rozpoczynać niż kończyć pierwszy koncert symfoniczny.

Na koncercie kameralnym oczarował wszystkich **Andrzej Panufnik**. Jego pieśni na głosy żeńskie z tow. dwu fletów, dwu klarnetów i basklarnetu (szkoda, że to tak rzadki choć piękny instrument) są zachwycające. Pieśni te uważam za **wzorowe opracowanie** melodii ludowych, podanych nieomal bez żadnych zmian unisono w chórze, a barwnych niesłychanie w skromnej zresztą instrumentacji. Pieśni te powinny być najrychlej rozpowszechnione.

Tryptyk żałobny **Kasserna**, napisany na cześć naszej chluby i nadziei śp. Romana Padlewskiego, bohaterskiego wojownika o Warszawę, posiada nurt głęboki i bardzo osobisty. Kassern potrafi nadać swym myślom muzycznym niezwykły umiar i dostojność, świadczącą o dużej głębi uczucia.

Kwartet **Romana Padlewskiego** przedstawia się jako dzieło dojrzałego człowieka, któremu nie było dane wypowiedzieć się całkowicie. Wysłuchaliśmy kwartetu z głębokim żalem za utraconym kolegą, kompozytorem o prawdziwym natchnieniu.

Witolda Lutosławskiego reprezentowało śmiałe trio na obój, klarnet i fagot. Bardzo agresywne pozornie, jest w pewnej mierze dziełem konserwatywnym. W muzyce Lutosławskiego znać dużą kulturę, opanowanie rzemiosła kompozytorskiego, niemniej wydaje się, że tego rodzaju technika jest raczej stosowniejsza w zespole orkiestrowym, a w kombinacji na trzy instrumenty nie daje wrażenia nieodwołalnej konieczności.

Bardzo pięknie grał **Jan Ekier** swoje utwory na fortepianie. Szczególnie wartościowa jest Toccata, utwór o dużym rozmachu twórczym, doskonale napisany na fortepian.

Uwertura **Antoniego Szałowskiego** jest świetna, ale gusty się zmieniają i my z tymi gustami. Rzecz napisana na kilka lat przed wojną zrobiła „huczek", grano ją, zachwycano się nią. Istotnie orkiestracja jest fantastyczna, wykorzystanie jej u granic możliwości, ale z tym wszystkim nie ma tam miejsca dla muzyki. Zmieniliśmy się. Rewidujemy pewne wartości. I w tej rewizji uwertura Szałowskiego cokolwiek ucierpiała.

Gwoli kronikarskiego obowiązku zanotować należy, że na drugim koncercie symfonicznym wykonano „Epitaphium" na śmierć Szymanowskiego na orkiestrę smyczkową niżej podpisanego.

Specjalnie wspomnieć jeszcze musimy o kapelmistrzach Festiwalu. **Zygmunt Latoszewski** prowadził orkiestrę z umiarem i dużą techniką dyrygencką, troskliwy o każdy szczegół wykonywanych dzieł. **Mieczysław Mierzejewski** jest kapelmistrzem, który wnosi na estradę czynnik dynamiki niezwykłego gatunku i sugestywności. Szkoda, że dyryguje tak rzadko.

Reasumując wrażenia, musimy zapisać na duży plus urządzenie Festiwalu Krakowskiego. Dał nam możność zorientowania się w tym, co robimy, piszemy i komponujemy. Pozwolił wymienić szereg zdań, poglądów, posłuchać własnych poczynań. Staje się to co raz więcej konieczne, skoro teraz nasze pokolenie zaczyna brać odpowiedzialność za polską muzykę.

Dr Tadeusz Szeligowski

RUCH KONCERTOWY

W okresie sprawozdawczym Towarzystwo Muzyczne w **Lublinie** urządziło pierwszy popularny Poranek Symfoniczny w sali Teatru Miejskiego, na którym usłyszeliśmy uwerturę „Bajka" i mazur z op. „Halka" Moniuszki, suitę „Krakowiaki" Rybickiego oraz symfonię „Niedokończoną" Schuberta. Stosunkowo słaba frekwencja potwierdziła zasadę, że obniżka cen biletów nie zawsze jest wystarczająca dla wzbudzenia większego zainteresowania. Bardziej atrakcyjny program urozmaicony występami znanych i popularnych miejscowych solistów byłby dla tego rodzaju koncertów odpowiedniejszy.

Drugi piątkowy koncert odbył się w sali Towarzystwa Muzycznego. Orkiestra wykonała uwerturę „Egmont" oraz symfonię I Beethovena. W koncercie wzięła udział znana tut. pianistka Adela Bay, która odegrała z tow. orkiestry koncert Es-dur Liszta. Uwertura „Egmont" mimo słabe miejsca partii wiolonczeli oraz przy niedostatecznej obsadzie pierwszych skrzypiec wypadła najlepiej, zwłaszcza wyzwolenie Egmonta (finał), gdzie Szczepański zajaśniał pełnią swego talentu. Symfonia Beethovena miała pewną ociężałość — śpiewne Andante było zbyt wymuszone i przewlekłe. Ożywienie wprowadził Menuet z nadmiernym przyspieszeniem tempa w zakończeniu. Ostatnia część miała pogodny, jasny charakter. Adela Bay, nie czując się zbyt pewnie w towarzystwie orkiestry, wykonała koncert Liszta z właściwym jej spokojem oraz dokładnością. W ostatniej części koncertu „Allegretto vivace", zawierającej bardziej skomplikowane miejsca pod względem rytmicznym i dla orkiestry, odczuliśmy pewne niedociągnięcia.

Specjalny charakter miał występ orkiestry im. Karola Namysłowskiego, której udział na Wystawie Przemysłu Lubelszczyzny cieszył się również dużym i zasłużonym powodzeniem. Koncert urządzony w sali Towarzystwa Muzycznego odbył się w atmosferze bezpośrednio nawiązanego kontaktu z publicznością. W repertuarze były piękne i bliskie naszemu sercu melodie Namysłowskiego, Osmańskiego i innych jak: polonezy, krakowiaki, mazury i t. p. Orkiestra im. K. Namysłowskiego jest zespołem zgranym, posiadającym rutynowanych i zdolnych orkiestrowców oraz pewnych solistów w każdej grupie instrumentów. W tych warunkach utwory takie jak „Bajka" Moniuszki lub fantazja z op. „Traviata" uzyskują pełne brzmienie oraz właściwy dynamizm, mimo tylko trzydziestu kilku osób zespołu, zaś dyrygent Bryk St. bez specjalnych trudności i wysiłku prowadzi orkiestrę. Z pełnym uznaniem dla prac orkiestry opuszczaliśmy salę.

W okresie sprawozdawczym liczni soliści przewinęli się przed publicznością lubelską. Z pianistów wystąpił z własnym recitalem Stanisław Szpinalski. Niezbyt dysponowany, odegrał program koncertu pod względem technicznym na wysokim poziomie. Sonaty Beethovena d-moll op. 31 i Szopena b-moll — to dwa fragmenty programu. Pierwsza zgrozą przytłaczająca, tajemnicą okryta; druga — to obawa przed śmiercią, symbol strachu przed nieznanym. Niepokojącą monotonię sonaty Beethovena, zwłaszcza ostatniej części „Allegretto" wyraził Szpinalski przez zastosowanie dynamicznych ożywiających kontrastów. Silne momenty o napięciu dramatycznym sonaty Szopena spotęgowane zostały w Grave i Marszu żałobnym. Sonatina Szeligowskiego posiada wartości zarówno pod względem muzycznym jak i pianistycznym. Część pierwsza ma pełen inwencji melodyjnej temat, przy tym radosny i świeży, druga — zawiera pochody głosów charakterystyczne dla polifonii Szeligowskiego. Pewne refleksje wzbudziło za szybkie tempo sonaty Scarlatti'ego oraz Marsza Tureckiego Mozarta. Również przyspieszanie i zwalnianie tempa w Ciaconnie Bacha nie miało żadnego celu emocjonalnego, zaś rapsodia Liszta zawierała szereg niespodzianek. Z takiego koncertu wyszliśmy niezaspokojeni pod względem muzycznym.

W dziedzinie śpiewu dali wieczór oper i operetek młodzi adepci sztuki wokalnej, Maria Sowińska i Bohdan Paprocki, oraz z własnym recitalem wystąpiła Zofia Massalska. Sowińska rozporządza ładnym dźwięcznym materiałem głosowym, który w górnych tonach nie zawsze jest naturalny — koloratura jej jest dopiero próbą i ma braki zarówno w emisji głosu jak i w intonacji. Paprocki ma pewny, silnie wibrujący głos oraz dobrą dykcję, jednak za słabe frazowanie i brak piana. Recital Zofii Massalskiej miał inny charakter, gdyż poświęcony był zasadniczo pieśni od Vivaldi'ego począwszy, a skończywszy na Szymanowskim. Najlepiej wypadła aria Lizy z Damy Pikowej. Recital ten nie pozostawił głębszych śladów w naszym życiu muzycznym.

Jan Szorc

Życie muzyczne Lubelszczyzny

Niewielki wprawdzie okres czasu upłynął od wyzwolenia Lubelszczyzny z krwawego jarzma pięcioletniej niewoli, a już można wiele napisać o rozwoju życia muzycznego na terenie naszego województwa. Jest faktem niezaprzeczonym, że t. zw. prowincja odgrywała przed wojną bardzo małą rolę w życiu artystycznym kraju i pogrążona w mrokach własnej bezradności pomijana była milczeniem, a nawet lekceważona. Nie myślano wtedy o stałych teatrach, mniej jeszcze o szkołach muzycznych. Dzisiaj z radością stwierdzić należy, że — jeśli chodzi o województwo lubelskie, — placówki muzyczne nie ogniskują się wyłącznie w Lublinie, lecz i poza murami naszego miasta pulsuje i tętni życie muzyczne w miastach powiatowych, których inicjatywa i wysiłki w kierunku jak najszerszego upowszechnienia kultury muzycznej wśród społeczeństwa zasługują na wyróżnienie.

Miastem wysuwającym się na przodujące miejsce jest Chełm. W kwietniu r. b. zorganizowano Szkołę Muzyczną im. Paderewskiego dzięki inicjatywie obecnej dyrektorki Szkoły ob. Marii Mączyńskiej. Pomimo dużą jak na Chełm frekwencję uczniów (około 150) szkoła posiada zbyt szczupły lokal, co utrudnia w pewnej mierze jej należyty i szybki rozwój.

Inicjatywa dzielnej dyrektorki zasługuje tym bardziej na podkreślenie, że Chełm nie posiadał nigdy dobrej tradycji muzycznej. Dopiero przed samą wojną życie muzyczne Chełma ożywiło się dzięki zawiązaniu Tow. Muzycznego, którego prace ujęte w formy organizacyjne poczęły się pięknie rozwijać. Chór mieszany, orkiestra smyczkowa — dały wiele koncertów i audycji dla szkół. Niestety wojna przeszkodziła dalszemu rozwojowi. Mamy nadzieję, że b. członkowie Towarzystwa podejmą znów swą pożyteczną pracę, niezrażeni tym, że wszystkie akta i nuty zostały w czasie wojny zniszczone. Zwiastunem tej pracy jest już zespół kameralny, który dał w bież. roku szereg koncertów tak dla szerokiej publiczności jak i dla młodzieży i rannych w szpitalach.

Drugim z kolei miastem zasługującym na wyróżnienie jest Zamość. Oprócz Szkoły Muzycznej, która obecnie jest w stadium reorganizacji, istnieje stała, półzawodowa orkiestra symfoniczna. Orkiestra, kierowana przez dłuższy okres czasu przez Stanisława Splewińskiego, położyła duże zasługi w dziele upowszechnienia kultury muzycznej, dając szereg koncertów w Zamościu i okolicy. Niezawodnie nowy dyrygent Stanisław Bryk będzie kontynuował pracę swego poprzednika. Posiadamy tylko pewne zastrzeżenia co do obecnego repertuaru orkiestry. Czy nie należałoby zwrócić się w kierunku wskrzeszenia tradycji orkiestry Namysłowskiego, jako ściśle związanej z terenem Zamościa, i wykreślić z programu utwory małowartościowe. Zadaniem zespołu zamojskiego, składającego się w większej części z zawodowych muzyków i posiadającego duże możliwości, powinno być raczej kultywowanie i krzewienie muzyki ludowej.

Na terenie Krasnegostawu zorganizowano orkiestrę kameralną przy Powiatowej Radzie Kultury i Sztuki. Krasnystawski zespół orkiestralny urządził szereg poranków dla młodzieży szkolnej i publiczności. Prywatne Kursy Muzyczne obejmujące klasę fortepianu i śpiewu solowego prowadzi prof. Banaszkiewiczowa.

Z radością witamy inicjatywę Łukowa, w którym organizuje się szkołę muzyczną dzięki staraniom Towarzystwa Muzyczno-Teatralnego. Także łukowski zespół solistów rozwinął szeroką akcję koncertową.

W Białej Podlaskiej istnieje przy Domu Kultury Studium Muzyczne pod kierunkiem St. Niwińskiej.

W Tomaszowie Lubelskim Kursy Muzyczne prowadzi Władysława Nowe.

Ogółem w terenie województwa lubelskiego istnieje 9 szkół i kursów muzycznych, 2 orkiestry symfoniczne, 6 orkiestr kameralnych, 10 orkiestr dętych, 8 orkiestr ludowych, 45 chórów kościelnych, 4 chóry ludowe i 9 chórów świeckich męskich i mieszanych. W statystyce tej nie można pominąć kilkudziesięciu chórów szkolnych, których wkład w życie muzyczne jest również niemały.

Poważną pozycję w życiu muzycznym lubelszczyzny stanowi działalność Lubelskiego Oddziału Centralnego Biura Koncertowego, które urządziło wiele koncertów popularnych na terenie województwa lubelskiego przy udziale wybitnych sił artystycznych, objeżdżając region lubelski w imię idei upowszechnienia muzyki.

Tak znaczny dorobek każe wierzyć, że lubelszczyzna jest na najlepszej drodze w kierunku realizacji hasła „pieśń i muzyka dla wszystkich".

Irena Woydygowska

LITERATURA

ZJAZD PISARZY CHŁOPSKICH W ŁODZI

W porozumieniu z Zarządem Głównym Związku Zawodowego Literatów Polskich odbył się w Łodzi w dniu 10 października r. b. zjazd pisarzy chłopskich, którego zadaniem było powołanie do życia Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Oddział Wiejski Zw. Zaw. Literatów Polskich będzie skupiał wszystkich pisarzy mieszkających stale na wsi oraz pisarzy, którzy wyszedłszy ze wsi w dalszym ciągu interesują się jej życiem.

Siedziba zarządu Oddziału Wiejskiego będzie się mieściła narazie w Łodzi. Oddział będzie posiadał samoistne życie organizacyjne, podobnie jak każdy oddział prowincjonalny związku i posiadać będzie te same uprawnienia.

◆

„WIOSNA LUDÓW"
Jerzego Mieczysława Rytarda

Znany pisarz ludowy, Jerzy Mieczysław Rytard po skończeniu pracy nad sztuką p. t. „Ziemia", będąca przeróbką „Placówki" Prusa na scenę, pracuje obecnie nad nową sztuką, która będzie miała tytuł „Wiosna ludów". Akcja będzie rozgrywała się w 1848 r., w okresie wielkich ruchów wyzwoleńczych, które obejmowały wówczas całą Europę.

KSIĘGARSTWO

ZJAZD KSIĘGARSTWA POLSKIEGO

W Warszawie odbył się w gmachu Związku Nauczycielstwa Polskiego zjazd Związku Księgarzy Polskich. Była to pierwsza w odrodzonej Ojczyźnie narada organizacyjna księgarstwa polskiego, obesłana licznie zarówno przez księgarstwo prywatne, jak i spółdzielcze i państwowe. W wyniku ożywionej dyskusji nad zagadnieniami handlu książką powzięta została następująca rezolucja:

„Celem Związku Księgarzy Polskich jest jak najwydatniejsza i najpożyteczniejsza praca dla książki w Polsce, tak pod kątem potrzeb czytelnictwa ogólnego, jak przede wszystkim dla szkoły, wychowania i kształcenia Narodu. Związek Księgarzy Polskich dążyć będzie do objęcia całokształtu obrotu książką bez różnicy formy prawnej i organizacyjnej przedsiębiorstw na jak najszerszej platformie współpracy, łącząc księgarnie państwowe, spółdzielcze i prywatne. Wszystkie poczynania księgarstwa znajdą w Związku pomoc i opiekę, o ile będą pozytywne i pożyteczne, natomiast spotkają się ze zdecydowanym sprzeciwem przy wszelkich objawach szkodliwych dla książki i społeczeństwa. Związek Księgarzy Polskich uczyni wszystko, by przyspieszyć odbudowę książki i w swoim zakresie starać się będzie o należyte, uczciwe i zgodne z dobrymi obyczajami powszechne rozprowadzenie książki, tak popierając i poucząjąc stare księgarstwo fachowe, jak i przygotowując nowe kadry zawodowców".

Na prezesa Związku wybrano ob. Arcta. W Zarządzie Związku reprezentować będą księgarstwo spółdzielcze i społeczne ob. ob. A. Jędrzejewska, W. Gruziel, St. Kowalczyk, J. Rosner, St. Szpengel, zaś księgarstwo prywatne — J. Arct, M. Idzikowski, P. Hniedziewicz, H. Hammer, dr J. Gebethner, J. Nowicki, J. Nieszporek i F. Pieczątkowski.

Wybrano również Komisję Weryfikacyjną, której zadaniem będzie zbadać postępowanie i zachowanie się wobec okupanta hitlerowskiego każdego poszczególnego członka Związku. Obradom przewodniczył ob. St. Kowalczyk, dyr. Wydziału Księgarskiego Spółdz. Wydawniczej „Czytelnik".

PLASTYKA

NAGRODY NA WYSTAWIE „RUINY WARSZAWY"

Przyznane zostały nagrody za prace wystawione na wystawie „Ruiny Warszawy" — rysunki, akwarele, gwasze.

Nagrodę Prezesa Rady Ministrów w wysokości 10 tys. zł otrzymał Jan Seweryn Sokołowski, za rysunek „Kościół Św. Aleksandra.

Nagroda Ministra Kultury i Sztuki w wysokości 10 tys. zł — Jan Cybis za rysunek „Most Poniatowskiego".

Nagrodę Ministra Odbudowy (6.000 zł)— Eugeniusz Arct za „Stare Miasto".

Nagroda Prezydenta miasta (6.000 zł) — Janina Wildenowa.

Nagroda Związku Zaw. Polskich Artystów Plastyków (10.000 zł)— Kazimierz Tomorowicz za rysunek „Most Poniatowskiego".

Nagrodę Muzeum Narodowego (3.000 zł) — Józef Korolkiewicz za „Widok na Plac Bankowy".

Dwie nagrody BOS-u po 3.000 zł — Gizela Hufnagel-Klimaszewska za „Domy na Ludnej" i Janecka Leonia za „Most Poniatowskiego".

◆

INSTYTUT HISTORII SZTUKI
na usługach rekonstrukcji zabytków

W rekonstrukcji zabytków Warszawy wielką rolę odegra nowopowstały Państwowy Instytut Historii Sztuki, który rezyduje na II-im piętrze Muzeum Narodowego.

Myśl utworzenia tego Instytutu powstała w latach okupacji w gronie historyków sztuki, skupiających się wokół dyrektora Muzeum Narodowego, d-ra St. Lorentza.

W okresie przedwojennym nie dokonano w dostatecznej mierze prac nad inwentaryzacją zabytków, wskutek czego np. ustalenie stanu zniszczeń wojennych napotyka na kolosalne trudności. Również i wydawnictwa źródłowe do dziejów sztuki polskiej leżały odłogiem i w latach ostatnich wielka ich ilość zaginęła z niepowetowaną szkodą dla historii sztuki w Polsce.

Dzięki staraniom dyr. Lorentza minister Kultury i Sztuki powołał do życia Państwowy Instytut Historii Sztuki i Inwentaryzacji Zabytków, skupiających w sobie prace badaczy polskich, towarzystw naukowych i naszych zakładów uniwersyteckich. Z kolei Instytut podzielił swe prace między dwie komórki: Zakład Historii Sztuki i Centralne Biuro Inwentaryzacji Zabytków. Porządkują one biblioteki, zbiory klisz i fotografii, zdjęć pomiarowych, prowadzą pracownię fotograficzną, kompletują słownik artystów polskich.

Sekcja dokumentacji Instytutu, mieszcząca się również w Muzeum Narodowym, posiada bibliotekę historii sztuki, złożoną z 20.000 tomów. Jest to najbogatszy zbiór „varsavianów" — publikacyj o Warszawie, tym cenniejszy, że tak wiele bibliotek zginęło bezpowrotnie. Zbiory fotograficzne C.B.I.Z. składają się z 30.000 klisz rozmiaru 13 x 18 cm. Zbiór ten dostępny jest dla każdego, kto interesuje się zabytkami. Odbitki fotograficzne wydaje się za zwrotem kosztów. Główne zbiory fotograficzne mieszczą się w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Tam, prócz fotografii, są i pomiary budowli — olbrzymi materiał dla odbudowy Warszawy.

Inwentaryzację zabytków zaczęto w 1939 r. Wyszły jednak tylko dwa tomy, obejmujące budynki dwu powiatów: Nowotarskiego i Rawskiego. Akcja wydawnicza w tym kierunku będzie kontynuowana.

Jednak życie domaga się wcześniejszego wydania skróconego katalogu zabytków sztuki w Polsce i to niebawem nastąpi. Będzie to czymś w rodzaju przewodnika.

Ale najpilniejszym zadaniem jest wydanie katalogu ziem zachodnich, prostujące go wszystkie krzywdzące nas, kłamliwe publikacje niemieckie w tej dziedzinie. Ze względu na zbliżającą się konferencję pokojową, która niewątpliwie będzie dyskutować nad dalszym prawem do spuścizny piastowej, mobilizacja historyków sztuki jest czynem wielce przezornym i wkrótce wyda owoce.

SZKOLNICTWO

Instytut Artystyczny w Kazimierzu Dolnym jest uczelnią koedukacyjną o typie liceialnym. Dyplom ukończenia instytutu upoważnia do pracy instruktorskiej w charakterze referenta kulturalno - oświatowego. Podstawowymi przedmiotami są: teatr, inscenizacja, reżyseria, aktorstwo i organizacja zespołów ochotniczych. Kurs trwa dwa lata i dzieli się na dwa okresy: I-szy, wstępny (półroczny) daje przygotowanie do prowadzenia dorywczo pewnych samodzielnych prac w ramach szkoły, kółka teatralnego i t. p. II-gi okres, półtoraroczny rozwija i pogłębia wiadomości słuchacza Instytutu, dając mu uprawnienie do szerszej pracy w terenie (powiat, miasteczko, osada fabryczna), a także pozwala na wykłady dykcji i recytacji w liceach pedagogicznych. Ze względu na specjalny rodzaj pracy przyszłych wychowanków Instytutu pożądani są kandydaci odznaczający się zamiłowaniem do pracy organizacyjno-społecznej oraz posiadający dobry słuch muzyczny, zdolności do tańca i t. p.

Wykłady na kursie wstępnym rozpoczynają się z dniem 4 października 1945 r. Uczniowie będą posiadali własny internat za opłatą 900 zł miesięcznie. Dla niezamożnych a pilnych przewidziane są zniżki lub całkowite zwolnienie z opłat za internat. Nauka w Instytucie jest bezpłatna.

TEATR

Reorganizacja komisji repertuarowej przy Ministerstwie Kultury i Sztuki

Powołana swego czasu Komisja Repertuarowa przy Wydziale Repertuarowym Ministerstwa Kultury i Sztuki została ostatnio zreorganizowana na nowych podstawach.

W skład jej wchodzi obecnie 5 osób, w tej liczbie Naczelnik Wydziału Repertuarowego, 2 przedstawicieli literatury, 1 reprezentant krytyki i 1 reżyser.

Komisja, której przyświeca hasło upowszechnienia teatru, ma za zadanie: ocenę sztuk przeznaczonych do wystawienia, zarówno z dawnego dorobku dramatycznego, jak i z najnowszej twórczości, opracowywanie wytycznych dla polityki repertuarowej i przeprowadzanie prac nad zestawieniem katalogu repertuarowego.

Do komisji wpłynęło około 80 nowych sztuk autorów polskich. Z utworów przestudiowanych zakwalifikowano dotychczas 26 sztuk.

AGENCJA TEATRALNA

W myśl Ustawy o prawie autorskim wykonywanie utworów słownych i muzycznych w teatrach, rewiach, na koncertach i t. p. oraz na wszelkich płatnych imprezach jest bez zgody autora zabronione.

Zgoda na produkowanie utworów zależna jest wyłącznie od twórcy, który może udzielić licencji lub też zabronić wystawiania swoich prac.

Departament Teatru Ministerstwa Kultury i Sztuki powierzył przedstawicielstwo i ochronę praw autorskich i kompozytorskich autorów sztuk teatralnych jak również utworów muzycznych (opery, operetki, komedie muzyczne) — Agencji Teatralnej (Łódź, Traugutta 1). W myśl powyższego dyrekcje teatralne przed wystawieniem sztuki winny zawrzeć z Agencją Teatralną umowę licencyjną.

Agencja Teatralna zawarła umowę z Zaiksem, w myśl której przejęła ochronę praw **wszelkich utworów cało - spektaklowych**. W myśl tejże umowy Agencja powierzyła inkaso należności Zaiksowi.

MUZYKA

17.X — UROCZYSTOŚCI KU CZCI SZOPENA

Komitet Uroczystości Narodowych Powrotu Serca Szopena do Warszawy wystosował następującą odezwę do ludności stolicy:

WARSZAWO!

W murach Twych spoczywało od lat Serce Fryderyka Szopena — tylko bowiem w stolicy Polski lec mogło na wieczny spoczynek serce, które swą miłość dla ojczystej ziemi zakłęło swym geniuszem w najpiękniejsze, najgłębsze akordy muzyki.

W tragicznych dniach 1944 roku, gdy mury Twe rozpadały się w nicość śmierci, a Twoi mieszkańcy, wypędzeni ze swych domostw przez barbarzyńskiego wroga, szli w najpotworniejszą tułaczkę, musiało opuścić Twe mury i serce Szopena.

Przechowane z pietyzmem poza miastem, wraca w dniu 17 października 1945 r., w 96-ą rocznicę śmierci Fryderyka Szopena, na swe dawne miejsce spoczynku, w mury kościoła św. Krzyża.

Wraca tak, jak wróciło w Twe mury tysiące innych serc, serc żywych, gnanych ku miastu najżarliwszym pragnieniem budowania nowej, najpiękniejszej Warszawy.

Dzień 17 października 1945 r. będzie dniem Twego hołdu dla nieśmiertelnego geniuszu jednego z Twych synów. Będzie świętem Warszawy — miasta Szopena.

◆

„POLSKIE WYDAWNICTWO MUZYCZNE"

Wśród zniszczonych przez okupanta zbiorów bibliotecznych i księgarni dotkliwy uszczerbek poniosły także nasze zbiory muzyczne.

Mając te okoliczności na względzie Ministerstwo Kultury i Sztuki powołało do życia państwowe przedsiębiorstwo p. n. „Polskie Wydawnictwo Muzyczne", które podejmuje druk nut i podręczników. Ukazało się już 8 zeszytów nut zapoczątkowujących: 1) serię pedagogiczną muzyki fortepianowej, ułożona według stopni trudności. Wyszły dotychczas „Łatwe utwory" — W. Łabuńskiego, P. Perkowskiego i R. Palestra; 2) serię utworów skrzypcowych, obejmująca: „Obertasa" Wieniawskiego, „Mazura" Młynarskiego i „Romans" Zarzyckiego, oraz 3) serię utworów współczesnych polskich kompozytorów: Jana Ekiera — „Toccata" i „Kołysanka" oraz Szeligowskiego „Gitary z Zalemei".

Polskie Wydawnictwo Muzyczne wydaje poza tym śpiewniki: szkolny i ludowy oraz zbiór pieśni nowych.

WYDAWNICTWA

JÓZEF OZGA - MICHALSKI. — „Oberek Świętokrzyski", Związek Zawodowy Literatów. 1945.

Józef Ozga-Michalski należy do grupy poetów chłopskich. Pierwsze jego utwory czytaliśmy na łamach czasopisma „Wieś". Mówiły one o ciekawym talencie poetyckim autora. Teraz nakładem Związku Zawodowego Literatów Polskich wyszedł tomik poezyj p. t. „Oberek świętokrzyski", który daje pełniejszy obraz możliwości artystycznych J. O.-Michalskiego. „Oberek świętokrzyski" ugruntowuje i potwierdza wiarę w talent autora. Wiersze takie, jak: „Zerwanie", „Grusze", „W domu" są pełne wyczucia wsi. Tchną bezpośredniością i rzetelnym urokiem. Ale „Oberek" zawiera też i wiersze słabe, jakby od niechcenia rzucone na papier (np. „Do mojej Wiciarki"). Wydanie staranne. Układ graficzny pełen smaku, a drzeworyt K. Wiszniewskiego b. dobry.

BRONISŁAW GRZYBEK. — „Miłość zdobywcza". Wydawnictwo „Tęcza", Kielce — 1945.

Jest to zbiór wierszy debiutującego autora, który tak pisze o swym dziele we „Wstępie": „Miłość Zdobywcza" to wyrwane z serca ludzkiego uczucie wolności, zatruta radość życia, skalane wszystko, co drogie". Mimo to wszystko zbiór ten autor wydał przedwcześnie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Z. P. w Chełmie — Materiał zbyt obszerny dla „Zdroju".

W. B. w Lublinie — Nie wykorzystamy.

Dr T. K. w Rzeszowie — Artykuły zwróciliśmy, nowe przejrzymy.

J. T. w Pawlinie — Postaramy się zamieścić w kolumnie „Wieś tworząca".

J. B. w Łodzi — Wykorzystamy w odpowiednim czasie.

B. K. w Koszalinie — Jeszcze surowe.

M. K. pod Łodzia — Za list dziękujemy.

Cz. J. — Zamieścimy tylko Pańskie wiersze.

K. W. w Białymstoku — „Zdrój" można nabyć w każdym kiosku „Czytelnika".

W. B. w Sopotach — Drugi numer „Zdroju" został wyczerpany, więc nie możemy wysłać. Numer pierwszy jest do nabycia.

Z. Kl. w Chełmie — Wiersze „Moje mgły", „Przejście frontu" słabe.

Em. Jot. w Lubartowie — Może zamieścimy.

T. F. w Poznaniu — Za przekłady dziękujemy. Wykorzystamy.

W numerze 3-cim „Zdroju" omyłkowo podano nazwę grupy plastyków lubelskich „Zespół". Grupa ta nazywa się „Plastyka".

SPIS TREŚCI:

Stefan Kawyn — Stefan Żeromski i Edw. Abramowski.
Wojciech Bąk — Z „piątej Ewangelii".
M. Grabowska — Pamiętaj!
St. Pagaczewski — Ewakuacja.
Witold Zechenter — Litania.
Józef Bojar — Sianokosy.
St. Pagaczewski — Pieśń matki partyzanta.
J. N. Kłosowski — Od pudełka zapałek do szklanych domów.
Irena Byrska — U źródeł harmonii.
Jadwiga Radlińska — Niebo bez gwiazd.
S. Wojciechowski — O herbie m. Lublina.
S. F. — Teatr Ludowy.
M. Bechczyc-Rudnicka — Więcej światła.
H. Syska — Karabin, pług, pióro.
Kronika:
Festiwal Muzyki Polskiej w Krakowie.
Ruch koncertowy.
Życie muzyczne Lubelszczyzny
Literatura. Księgarstwo. Plastyka.
Szkolnictwo. Teatr. Muzyka.
Wydawnictwa.
Odpowiedzi redakcji.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Lublin, Peowiaków 5 m. 13; tel. 30-45.

Redakcja przyjmuje poniedziałki, środy i piątki od godz. 14 do 15.

Administracja czynna codziennie od godz. 9—12 i 16—18.

Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się.

Cena numeru dwutygodnika „Zdrój" 5 zł. Prenumerata kwart. wraz z opłatą pocztową 36 zł.

Redaguje: Zespół. Wydaje w imieniu zespołu: FRANCISZEK TWARDOŃ.